



Ze zbiorów p. Maurycego Spokornego.

Michał Wiewiórski. „Zima”.

RUSINI.



Historyczny spór, który się całe stulecie toczył na najbardziej wschodnich kresach Rzeczypospolitej, a w wieku XVII doszedłszy do zenitu, wtargnął w głąb kraju, znacząc krwawe swe ślady pod Żółtymi Wodami i Korsuniem, na polach Zborowa i Beresteczka, dziś zamknął się w ciasnych granicach trzydziestu powiatów Galicji. Uszczuplony teren nie odebrał mu znamion wielkiego dziejowego procesu. Pomimo wszystkich zmian, mimo katastrof i przeobrażeń, które ziemi tej nadały inny wygląd prawnopaiństwowy, — jak dawniej, jak przed wiekami stoją naprzeciw siebie na przestrzeniowych trzydziestu powiatów Polska i Kozaczyna, duch historycznej Rzeczypospolitej, z jej wadami i cnotami, i duch owego nieokiełzanego, burzliwego żywiołu, co umiał tylko niszczyć i mścić się, co wszystkie próby pojednania potargał nienawistnie i pociągawszy w przepaść całych gmachów dziedzictwa Jagiellońskiego, pogrzebał wraz z nim na setki lat dom własny.

W miniaturowych kształtach rozgrywa się na nowo stary dramat.

Jakby dla tem większego złudzenia, wśród aktorów przesuwają się po stronie polskiej te same rody, które niegdyś trzymały ster wypadków. Ci sami Lubomirscy, Potoccy, Sapiehowie. Nie masz Chmielnickich. Są mali Chmielnicy, gotowi raczej do sromotnej kapitulacji przed kimś trzecim, niż do współzycia z Polską na warunkach możliwych. Nie masz także Wyhowskich. Są ich nieliczni epigonowie, których nieśmiałe próby ugody zdepcze w każdej chwili stopa nieprzejednania we własnym obozie.

Zmieniło się wiele po stronie polskiej.

Znikła tysięcy, służalczą „klientelą“ możnowładców, przepłynęła pod nimi wielka fala dziejowa, podmyła grunt i przeistoczyła jego naturę. Oni sami nie są już w przeważnej części tymi, których widział wiek XVII. Rusini mieli tego także dowody. Kiedy na pierwszym sejmie konstytucyjnym we Lwowie wyłoniła się w debacie szkolnej kwestya ruska, była Ruś galicyjska, jak

dziś, rozdarta na dwa obozy. Licniejszy, zasobny w kulturę, ludzi i środki materyalne, drwiti „chłopskiego narzecza“ i wyrzekał się narodowej samodzielności. Mniejszość, znikomo drobna i słaba, nawiązywała do starych ukraińskich tradycji. Polacy mogli poniekąd rozstrzygać. Ich wpływ, rzucony na jedną lub na drugą szalę, mógł na długie lata zdecydować o przyszłości. Ironią i lekceważeniem brzmiał z trybuny sejmowej głos Leszka Borkowskiego, który przeczył istnieniu jakiegokolwiek kwestyi ruskiej, głos oklaskiwany nie tylko na ławach „podolskich“, ale, goręcej i ostentacyjniej jeszcze przez „świętojurców“, co stanowił czoło Rusi. Wtedy wystąpili posłowie krakowscy, wnukowie tych, co niegdyś dokonali wielkiego dzieła Unii. W pamiętnej mowie Adam Potocki nakreślił kierunek polityczny, wysnuty z tradycji owego wiekopomnego aktu. Było tam nie tylko „uznanie“ sprawy i odrębności ruskiej, był program, sięgający daleko w przyszłość, tworzący obszerne ramy dla rozwoju ruskiej narodowości i kultury.

Linia wypadków łamała się często. Idee Adama Potockiego nie zwyciężyły doraźnie. Ich ucieleśnianie się napotykało trudności i przeszkody a niespełnione pragnienia rusinów wytwarzały w nich gorzyc do Polski i wznowiały dawne dziejowe urazy. Także i dziś mogą być podstawy do niezadowolenia, do dalszych, nowych wymagań, gdyż narody nie są aniołami i w ich wzajemnem pożyciu muszą być tarcia wszędzie, gdzie występują silniejsi i słabsi.

Lecz jakkolwiek byśmy chcieli oceniać rozwój sprawy ruskiej w Galicji w okresie autonomii, nikt zaprzeczyć nie zdoła, że polacy to przyczynili się głównie do zwycięstwa i wzrostu idei narodowej ruskiej, że wówczas, gdy Ruś galicyjska znajdowała się na rozdrożu między samoistością narodową, a jej zaprzeczeniem, rozstrzygnęli na korzyść pierwszej. Ród Leszków Borkowskich wymarł. Cała wschodnia część kraju od Sanu po Zbrucz pokryła się gęstą siecią szkół i szkółek ruskich, powstały liczne instytucje kulturalne, oświatowe, gospodarcze, mające służyć samodzielności ruskiej, a głosy nasze w sejmie wotowały i wotują dla nich zasilki z publicznych fundusów. Już nie ma mowy o uznawaniu sprawy ruskiej, jak niegdyś, mówi się tylko

o prawach, a tych nikt także nie przeczy. Jeżeli zadośćuczynienie żądanom nie poszło po za punkt obecny, jeśli tyle, a nie więcej rusini uzyskali, przyczyny tego należy w nich samych szukać. Od chwili, gdy wśród gorzkich wyrzutów Iwan Naumowicz oskarżał „panów krakowskich“ o „wymysł nieistniejącej narodowości ruskiej“, nie zaśzło ze strony tej ostatniej nic, co by wskazywało w najbliższej mierze na chęć pokojowego współzycia z Polską. Przeciwnie: wszystko świadczyło o wrogiej, namiętnej żądzy porwania wszelkich z nami węzłów.

Ci sami od wieków!

Droga która starą kozaczyzną wiodła od złamania ugody zborowskiej, do poddania się berlu moskiewskiemu i od Hadziacza do Ukrainy, podzielonej na rosyjskie gubernie, nie zmieniła nic w psychice tych, którzy mienia się tak chętnie spadkobiercami aspiracji kozackich. Do społeczeństwa, które kierowało by się rachubą, nie nerwami, jakże potężnie przemówiłby mógł rok 1658, ten jedyny od Włodzimierzów i Jarosławów rok, który Ukrainie dał równorzędność państwową z Koroną i Litwą, z własną armią i rządem, z autonomią na wszystkich polach publicznego życia. Lecz data ta nie ma wymowy. Bohaterem narodowym nie twórca ugody hadziackiej, lecz ten, który był jej antytezą.

Od lat czterdziestu nierozwikłany za lepszych czasów spór jest znów aktualny. Czterdzieści lat nie posunęło go ani krokiem naprzód. Cofnęliśmy się raczej. Jesteśmy tam, gdzie w najburzliwszych latach byli nasi ojcowie. Żadnej zmiany na lepsze, żadnych widoków porozumienia. Obszar zatargu zwęził się, nowe pokolenia przyszły, miecz zastąpiony nowoczesną bronią, — po za tem wszystko zostało.

Wyjście z położenia?

Istnieją wogóle dwie drogi postępowania.

Jesteśmy w danych okolicznościach silniejsi i zasobniejsi. Korzystamy z przewagi, strzeżemy zazdrośnie nabytych praw i przywilejów i nie ronić z nich nic, usiłujemy je pomnożyć bez względu na szkodę przeciwnika. Wtedy jednak wróg pozostaje wrogiem, a przepaść pogłębia się. Czasowe nabytki okupowane zostają drogą fatalnem wychowaniem własnego społeczeństwa w polityce samolubstwa, od którego krok jeden do etycznego upadku, do zatracenia wyższych ludzkich ideałów, do moralnego barbarzyństwa. I oto druga możliwość. Dla pozyśkania przeciwnika ustępujemy z własnych zasobów, zwężamy nasz ma-

teryalny i polityczny stan posiadania, aby umożliwić rozwój strony drugiej. Czynimy to, — lecz w naszym przeciwniku nie zachodzi najmniejsza zmiana. Wzmacniamy zatem wroga. Rwą się najmistrzniejsze kombinacje, koło zakłęte nie dopuszcza wyjścia po za nie.

Lecz jeszcze trzecia możliwość.

Jeżeli ustępstwa nasze są półustępstwami i przez to samo z góry skazane są na bezpłodność? Jeśli, nie zaspakajając, muszą one tylko podniecać nowe żądania aż do granic dostatecznych? Jeśli do osiągnięcia celu nieodzowną jest akcja śmiała, w wielkim stylu, dająca wszystko? Tu wyłoni się pytanie, w którym zawiera się rdzeń rzeczy: jak mianowicie akcja taka ma wyglądać? czego mamy się wyrzec, aby wróg stał się przyjacielem?

Ze strony polskiej były i są próby znalezienia gruntu porozumienia. Ze strony ukraińców nie pbowano nigdy określić minimum żądań. Najsłabszy tylko zabierali głos w tej sprawie i wtedy słyszeliśmy owe osławione życzenia „wyniesienia się” za San, poparte groźbą ogłodzenia naszych dworów, puszczania z ogniem naszych dobytów. Nie był to głos realnej polityki, lecz ślepej namiętności, nie usiłowanie znalezienia formuły, możliwej obustronnie do przyjęcia, lecz bezwzględna negacja, z którą nie ma paktu. Umiarkowańsi wśród rusinów milczą i nie wiemy nawet, czy wogóle istnieją.

Półustępstwa polskie powinny były stworzyć, jako równoważnik, półgodę, zamiar zgody, zaznaczenie choćby jej chęci.

Nic z tego.

Jest jakiś obłądny rys w dotychczasowej nieprzejdwalności ruskiej. Tak zachowywać się mogą tylko narody, które oczekują cudu, lub sądzą, iż znajdują się w przededniu kataklizmu, mającego przynieść im od razu spełnienie wszystkich pragnień. My zachowywaliśmy się tak w r. 1863. Lecz gdzież jest Napoleon III rusinów galicyjskich, gdzie choćby uluda krucyaty Mazzinich i Garibaldich? Horyzont nie zapowiada żadnej burzy, a myśl o Ukrainie, oswobodzonej interwencją pruską, musi być zaliczona do dziecinnych mrzonek. Pięć szóstych szczerpu maloruskiego, ta wielka masa, pogrążona w śnie, o której kaukaskich granicach tak chętnie deklamuje się we Lwowie, jest materiałem dopiero na naród. Czy stanie się narodem w przyszłości dość bliskiej, aby mogła być dziś brana pod uwagę, można raczej poważnie powątpiewać. Trzeba mieć optymizm owego profesora lwow-

skiego, co w Petersburgu starał się przekonać ministrów o konieczności autonomii ukraińskiej, aby przypuścić, że Rosya zgodzi się dobrowolnie na stworzenie u swoich zachodnich i południowych granic organizmu, któryby ją cofnął z powrotem tam, gdzie była w czasach wielkiego księstwa moskiewskiego. Jeżeli koncepcja takiej czy innej „wolnej Ukrainy” nie godzi koniecznie w interesy Polski, a w pewnych warunkach mogłaby im nawet dogadzać, to dla Rosyi, nie wyrzekającej się dążeń mocarstwowych, jest ona pomysłem nie do przyjęcia, i stanowisko to zaznaczały niejednokrotnie najliberalniejsze żywioły rosyjskie

Tak przedstawiają się wielkie, po za kordon galicyjski wybiegające widoki ukraińców.

Wróćmy tu, gdzie się spór toczy.

Najbardziej powierzchowny rachunek może przekonać, że pozycja polaków nie jest tu tak słabą, aby lekceważenie jej nie było przedwczesnem i nierozsądnem. Wybory powszechne nie osłabiły naszej reprezentacji. Pozostała ona nadal wpływowym czynnikiem w państwie. Demokratyzacja innych ciał przedstawicielskich, a przede wszystkim sejmów, nie zapowiada również zmian zasadniczych. Powszechność wyborów sejmowych u nas łączy się ściśle z analogiczną reformą w innych krajach o mieszanej ludności, gdzie pociągnęłaby za sobą zmajoryzowanie żywiołu niemieckiego. Napotykaemy tu jeden z najdrażliwszych problemów wewnętrznej polityki austriackiej, i świadomy tego rząd zapowiedział stanowczo, że odmówi sankcyi każdej uchwały w tym kierunku. Równych, powszechnych wyborów nie należy zatem oczekiwać w Galicyi. Nie wolno też zapominać, że wszelka demokratyzacja praw wyborczych także z naszej strony powoła do życia świeże siły i przyczyni się znakomicie do ich publicznego wykształcenia, a dopiero co dokonany zwrot w szeregach stronnictwa ludowego jest wymownym dowodem, że wobec ogólnie narodowego niebezpieczeństwa łagodzą się i u nas ostrości partyjne. Gdyby wreszcie przyszło do głębszych zmian w stosunkach wewnętrznych kraju, to i wtedy jeszcze polskość, tracąc część swej obecnej przewagi, pozostałaby czynnikiem zbyt poważnym swą liczbą, zasobnością i stopniem cywilizacji, aby można było się z nią wcale nie rachować. Stan walki, gdyby się utrzymał nadal, musiałby, podobnie, jak dziś, wychodzić na złe całemu krajowi, pa-

ralizując jego postępy na każdym polu ze szkodą zarówno polskiej, jak ruskiej ludności.

Z jakiegokolwiek strony patrzylibyśmy na rzecz, musimy zawsze dojść do konkluzyi, że w interesie rusinów, tak samo, jak w naszym, leży zawarcie pokoju.

Zrozumienia tej bijącej w oczy oczywistości brak zupełnie wśród ukraińców galicyjskich. I tutaj znajduje się klucz do objaśnienia całego zachowania się tych istnych obłąkańców politycznych. Tam, gdzie u normalnie myślącego społeczeństwa mogłoby być miejsce na taktykę opozycyjną, gotową zmieniać się stosownie do uzyskiwanych zdobyczy, szaleje istna furja nienawiści, zaciemniającej zdrowy rozsądek, odcinającej drogę do jakiegokolwiek paktu. Najbardziej nieodporne hasła znajdują tu posłuch i oklaski, najbardziej katylinarne jednostki wypłyną na wierzch, jeżeli uderzą tylko w ton narodowego fanatyzmu. Są wśród przywódców ruskich, obdarzeni mandatami przedstawicielskimi, ludzie, których stan moralny i umysłowy czyni ich odpowiednimi jedynie do zamieszkania w domach zdrowia. Starsi, uczciwiej myślący politycy odsunęci w cień, pozbawieni wpływu, lub wywierający go tylko pozornie. Młodość i namiętność stanowią najskuteczniejszą legitymację dla „rządu dusz”, najlepszy paszport powodzenia. Zdziczenie i zwyrodnienie etyczne sięgają w inteligentnej warstwie narodu od szeregów studentów, obracających w gruzy sale wykładowe, do ław poselskich, gdzie kij staje się *ultima ratio*, i do katedr profesorskich, skąd idą za kordon do obcego rządu memoryały, natchnione duchem policyjnym. Wybory ostatnie odsłoniły ponury rozdział z dziejów wychowywania ludu ruskiego. Może pierwszymi są rusini, którzy uświęcili skryto-bójstwo, jako broń w walce konstytucyjnej o władzę, broń, skierowaną na dobytek w pierś własnych rodaków. Szowinizm stał się wykładnikiem całego życia publicznego, powodując powszechne stacanie się w przepaść barbarzyństwa.

Nie widzimy analogicznych objawów u nas. Utrzymujemy z całą stanowczością, że niema wśród nas nietylko nienawiści, lecz nawet niechęci do ogółu ruskiego; są uprzedzenia tylko, których bezpodstawność trudno byłoby zaiste udowodnić. Jedyna partya polska, która nacjonalizm wypisała na swym sztandarze, padła przy wyborach: społeczeństwo odmówiło jej swego zaufania. Mniej, niż gdziekolwiek, niechęci do ruszczyzny spotykamy

na wsi, w tych bojkotem i pożogą zagrożonych dworach, których właściciele od wieków żyją otoczeni ruskim żywiołem. Nie będziemy kruszyć kopii o polityczne cnoty szlachty polskiej. Ruś i Polska zawdzięczają jej wiele złego i wiele dobrego. Nikt jednak nie zdoła jej dowieść jednej rzeczy: narodowego fanatyzmu. Wyrosła z tego samego gruntu, co chłop, szlachta nie czyniła żadnych różnic narodowych, nie żyła nigdy uprzedzeń do cech plemiennych swego dawnego poddanego, dzisiejszego sąsiada i współobywatela. Niejednokrotnie spotykał ją z tego tytułu zarzut indyferentyzmu, czasem słuszny. Sama przyczyniła się niemało do wynarodowienia ludu polskiego na Rusi. Setki cerkiewek wiejskich, które dziś są twierdzami antypolskimi, a pochodzą z fundacji polskich dziedziców, wskazują na nastrój czasów ubiegłych; parcelacja ziemi między lud miejscowy świadczy o nastroju dzisiejszym, dalekim od dążeń polonizacyjnych.

Kontrast jest zbyt widoczny, aby mógł nie nasuwać myśli posępnych. Objawia się też wśród najumiarkowańszych upadek wiary w możliwość dojścia do ładu z tymi, których nikt inny, tylko polityka polska wyniosła na czoło galicyjskiej Rusi.

Wśród takich okoliczności zaszedł fakt nieoczekiwany: zerwanie ostatnich nici, łączących z ukraińcami partję staroruską i zwrócenie się tej ostatniej do polaków z propozycją kompromisu. Znużona i rozgoryczona opinia polska odpowiedziała życzliwie na wezwanie. Wybory sejmowe odbyły się już pod znakiem nowej, niebywalej dotąd kombinacji. Trudno przewidzieć trwałość tego związku, znamienną jest atoli niesłychana łatwość, z jaką myśl jego przenika polityczne koła polskie. W najpoważniejszych pismach mnożą się głosy, że popieranie *à outrance* ruchu ukraińskiego w Galicyi nie było „ani słuszne, ani mądre“, że mylną musiała być polityka, którą wychowaliśmy sobie nieprzejednanych wrogów. Rusini galicyjscy rozpadli się na dwie narodowości: na rosyjan i ukraińców. Ostatni posiadają równouprawnienie, pierwszych nie uznaje się wcale. „Krzywdę tę — woła „Przegląd słowiański“ — trzeba naprawić“. Proponuje równouprawnić język rosyjski z ukraińskim w szkole, w urzędach i w sądach, zostawiając ludności swobodę wyboru między jednym a drugim. Łatwo zrozumieć, jakim ciosem stałoby się to równouprawnienie dla całego ruchu ukraińskiego, dla jego przyszłości nie tylko

tu, ale za kordonem. Do realizacji tego pomysłu jest wszystko przygotowane. Ukraińcy starali się długo i skutecznie o przekonanie nas, że myśl o porozumieniu się z nimi jest mrzonką. Odzywali się do nas jednym tylko językiem: brutalnej, oszalałej nienawiści. Naodwrot zachowywali starorusini wśród najnieprzyjaźniejszych z nami stosunków pewien niezbędny takt i miarę, postępowali, jak ludzie kulturalni, nie jak dzicz. Widzieliśmy ich tam gdzie ze wszystkich słowian brakowało tylko ukraińców: w wielkiej manifestacji parlamentu przeciw pruskiej ustawie o wywłaszczeniu

Uwzględnienie językowych żądań partji staroruskiej zmieniłoby gruntownie stan rzeczy na Rusi galicyjskiej. Stałibyśmy się rychło świadkami nieprzebiegającej w środkach walki „rusinów“ i „rosyan“, walki, wobec której zatargi dzisiejsze zeszyłyby do rzędu igraszki, a która musiałaby wybuchnąć z chwilą, gdy ukraińcy ujrzeliby się zagrożeni widmem podzielenia się zdobyciami z „trzecią narodowością“, uchodzącą w oczach ich za społeczeństwo renegatów. Walki tej nie chcemy inscenizować, lecz nie mielibyśmy też dobrej racji zapobiegać jej, gdyby się wywiązała, jako konieczne następstwo kombi-

Rzeźby, znalezione w zamku Sobieskich w Żółtkwi.



Rzeźby, znalezione w zamku Sobieskich w Żółtkwi.



nacyi, do której politykę polską prze nieprzejednanie ukraińców.

Nie możemy również ograniczać się do sojuszków z jedną lub drugą stroną. Jako element nawskroś miejscowy, musimy niezależnie od wszystkiego, obok korzystania z praw, spełniać obowiązki, a wśród tych narzuca się ponad inne obowiązek cehronienia ludu ruskiego od zupełnego sfanatowania i zdziczenia. Program, jaki nakreślił świeżo dla polskiego ziemianstwa poseł Wielowiejski, otwiera w tym kierunku szerokie i realne perspektywy. Musimy jakąś drogą dojść do prawidłowych, uporządkowanych stosunków. W chaosie obecnej chwili niepodobna dokładnie oznaczyć środków, których wypadnie użyć, gdy stare zawiodły. Lecz jutro już może przynieść pożądaną orientację.

Antoni Choloniewski.



Rzeźby żółkiewskie.

Część zamku w Żółtkwi mieszcząca komnaty mieszkalne założyciela miasta, wielkiego hetmana Stanisława Żółkiewskiego, następnie jego prawnuka, króla Jana III, znajduje się w ruinie. Tylko sklepiony parter—niegdyś szatnia—zrestaurowany przed kilkunastu laty kosztem kraju, jest zamieszkały. Pierwsze zaś piętro przedstawia ponury obraz upadku. Z okien pozostały tylko kamienne obramienia z czytelnymi dotąd, w kamieniu rytmami, sentencyami łacińskimi; nigdzie niema drzwi lub odrzwi, podłogi i sufitu, a dach grozi zawaleniem. Ze ścian powyrywane marmurowe kominki gdzieś w świat się rozeszły, tak, jak i wszystkie inne cenne pamiątki.

Przy ścianie zamkowej od wielkiego dziedzińca biegly niegdyś kamienne arkady, których ślady zachowały się dotąd; z kaplicy pozostał tylko niewielki kawał muru. Przy tej samej ścianie zamkowej była niegdyś zewnętrzna otwarta klatka schodowa, a w niej kamienne posągi Żółkiewskich, Sobieskich i Radziwiłłów. Wyrzucone ze swych podstaw i połamane, walały się na podwórzu do czasu gdy ś. p. Wilhelm Siemieński zrestaurował je i ustawił w swym parku w zamku pod Magierowem, gdzie obecnie można je oglądać.

Z klatki schodowej wchodziło się

do westybulu, którego ściany zdobiło sześć kobiecych postaci symbolicznych więcej, niż naturalnej wielkości, rzeźbionych w drzewie, prawdopodobnie w początkach XVIII wieku. I one także podzieliły los wielu innych pamiątek żółkiewskich: znikły bez śladu. Dopiero niedawno udało się wpaść na ich trop konserwatorowi zabytków starożytności d-rowi Al. Czołowskiemu ze Lwowa. Znalazł je—wśród stosów rupieci na probostwie żółkiewskim. Wszystkie uległy zniszczeniu, na szczęście nie do tego stopnia, aby nie dało się ich zrestaurować. Powierzono to zadanie snycerzowi lwowskiemu p. I. Pasternakowi który trudnego dzieła dokonał z poczuciem artystycznym, nie zacierając charakteru rzeźb.

Dziś zdobią wejście do mieszkania starosty w rządowej części zamku. Dwa kościelne posągi prawdopodobnie pochodzące z kaplicy zamkowej, zrestaurowane również przez tego samego artystę, pomieścił u siebie ks. opat żółkiewski.

Przed laty pięćdziesięciu zamek i kaplica były jeszcze w dobrym stanie, a na strychu jeszcze w r. 1873, jak to żyjący dotąd świadkowie twierdzą było dużo starych zbroi i rynsztunków.

Z tego wszystkiego ani śladu...

Lwów,

J. Lęski.



CZĘŚĆ TRZECIA.

...I było w tym lesie bardzo cicho, a troszke nie. I ślimaczek wyszedł z liściuch i siadł na orzechu, a czarownica pojechała na rygrysu do swojej groty. I co się stało?

— Więc jak ślimaczek za karę, że był nieposłuszny, siadł na orzechu, orzech się zaczął prędko, prędko obracać i zawiózł go nad ogromne morze, a była noc i świeciły gwiazdy.

— Tak i dyabeł uderzył w gwiazdę. I przyszedł anioł i kazał mu ją przeprosić! I ja tatusiowi powie, co było potem. A czy potem jest przedtem, czy potem?

— Potem.

— I anioł powiedział do gwiazdy: chodź ze mną. I trzyszli do groty tej czarownicy, co pojechała na rygrysu, a tam był taki wielki las palmowy i wszystkie liście były z zielonego złota, — a co zrobił ślimaczek?

— A ślimaczek spadł z orzechu na morze i byłby się utopił, ale na szczęście przyplłynęła jedna wielka ryba.

— Duża od niego?

— Naturalnie, większa. i połknęła go.

— I on poszedł do brzuszka tej ryby, — a czy wysznie?

— Wysznie. Bo rybę złapał rybak i rozciął jej brzusek nożem i wyjął go.

— A co zrobił drut telegraficzny, co się jutro urwał, jak na nim usiadły żórawie?

— Powiedział —

— Ja tatusiowi powie, co powiedział: że jak żórawie będą wracały, to on sie na nich zaczai i trzyszki noży powiąże i odebrze im trzyszko, co będą niosły z ciepłych krajów, — zabawki, piniązki, kwiatki, trzyszko. Ale jeden nosorożek poprosił Bozi, żeby go podniosła do góry i zaczął wołać: żórawie, żórawie, złty drut telegraficzny chce was połapać! I co?

— I one poleciały wysoko, wysoko ponad nim.

— I już skończona bajeczka?

— Już.

— To jaby tatusia poprosiłem, żeby tatuś jeszcze raz opowiedział to samo.

— A ty sam nie opowiesz?

— Będę opowiadałem, ale po tatusiu. Tatusiu, a co się dzieje w naszym zamku w Spalato?

Król Andrzej pogłaskał głowę synka.

— Tatusiu, mnie tak smutno — mówiło dziecko. — Tatuś sie już teraz nigdy nie uśmiechna, jak u nas w zamku. Kiedy wrócimy?

— Jak — jak się nauczysz rachować wszystkie dni w tygodniu.

— Ja już umi. Poniedziałek, Wtorek, Czwartek, Środa, Piątek, Grudzień, Niedziela.

— Widzisz, że nie umiesz.

— Wczoraj będę umiałem.

— Jutro, nie wczoraj.

— Jutro.

Król Andrzej pogłaskał synka po włosach, dziecko zaś mówiło samo do siebie: Jak przyjadę do Spalato, narpierw pojedziemy z Metelką na spacer i ja będę powoził, a potem będzie wielka bitwa zwierzętowa i ja będę samalandrą, a Metelka nosorożkiem i wycięże ją. A potem trzyleci taki śliczny, śliczny wspaniaty motyl od morza, z krzydeł będą mu leciały w powietrzu gwiazdy i kwiaty i jeden orbrzym będzie go chciał zastrzelić, ale ja zabije tego orbrzymia i z tych trzyszkich gwiazd i kwiatów zrobię śliczny ogród dla tatusia, a w środku będzie namiot z nieba i trzyszkie Bozia i usiadzie w nim. Ale jak Bozia usiadzie, kiedy nie ma ciała?

Król Andrzej niewytłomaczył Jerzykowi tej kwestyi, tylko przygarnął go ku sobie i ucałował w wyniosłe, otwarte czoło, a dziecko objęło mu szyję rękoma i przytuliło się do niego.

— Tatusiu — szepnęło po chwili.

— Co?

— Ja się tak boję, żeby tatuś nie umar.

— Dlaczego?

— Bo kocham tatusia.

— Nie jest ci chłodno? — spytał król Andrzej, chcąc zwrócić na inny tor myśl Jerzyka.

— Bardzo nie, a troszke tak.

Król Andrzej wziął pelerynę i zawinęli się w nią obaj. Chłód wieczorny szedł od jeziora. Jerzyk przechylił główkę w tył na ręce ojca i zamyślił się; król Andrzej puścił oczy w mroczną przestrzeń za okno.

Zrazu, w pierwszych chwilach po zamachu rewolucjonistów, król Andrzej był, jak nieprzytomny. Wsadzono go na statek z żoną, synem, Marysą i kilkunastu osobami z dworu i służby, pozwoiliwszy mu zabrać garderobę, kosztowności prywatne i pieniądze, jakie były w kasie, i odwieziono go do Tryestu.

Nie kazano mu podpisywać żadnego aktu detronizacyi, nie żądano żadnego oficjalnego zrzeczenia się korony. Zabrano go, spakowano, wsadzono na statek i wywieziono, — jak rzecz. Do ostatnich granic dano mu poznać, jak sobie z niego nikt nic nie robi, jak się go nikt nie obawia i jak nikt o jego przyszłość czy nie dba. Pozbyto się go bez żadnych ceremonii, — jak niepotrzebne mebla.

— Meblowałem też zamek w Spalato — myślał król Andrzej — nic więcej..

Na statku nie przemówił do niego nikt i on nie odezwał się do nikogo z obcej mu zupełnie załogi. Zawinięty w płaszcz, siedział w kajuucie i nie pojmował poprostu, co się z nim stało? Widział przed sobą otchłań ciemną, a za sobą i przed sobą śmieszność wskutek nieszczerliwej sytuacji, w jakiej się odbył jego „detronizacja“. To łóżko Marysine... To wstanie w koszu i w majtkach, aby przestać być królem...

Król Andrzej na razie bał się więcej gazet z opisami o zamachu stanu, niż otchłani swego jutra, ciemnej i nieprzejrzanej...

Z Tryestu telegrafował natychmiast do Wiednia z prośbą o interwencję co do księżniczki, ale otrzymał odpowiedź, że interwencja wszelka jest niemożliwa, bowiem rząd austriacki nie uznaje żadnej obecnej władzy w Południowej Słowiańszczyźnie i z wielkim żalem, ale nie mianoby się z kim porozumieć. Równocześnie musiała też przyjść depesza do namiestnika, gdyż w parę godzin po przybyciu król Andrzej miał już jego wizytę w gali i usłyszał prośbę, aby przedewszystkiem, a nawet niemal wyłącznie dla osobistego swego bezpieczeństwa, wyjechał za granicę, przy czem namiestnik dał grzecznie do poznania, że usunie wszelkie ewentualne przeszkody dalszej podróży i ofiarował swój wagon. Król Andrzej wsiadł więc z nadzwyczajnymi dodatkami gazet o zamachu w Spalato w rękę i odjechał do Genewy.

Gorączkowo, na każdej niemal stacyi kupował gazety, aż nareszcie doczekał się, czego szukał: opisano dokładnie „upadek nie tyle z tronu, ile z łóżka“, pocieszano, że „utracił wprawdzie koronę, ale pozostały mu koronki“, śmiano się, jak spiskowi w sypialni Marysi. Europa huczała śmiechem, a król Andrzej wchłaniał go w siebie, nie chciał uronić nic, nic...

I zaciskał pięści, i przyciskał do nich skronie, i szeptał przez ścięte zęby: Cezar słowiański!..

Królowa Izabella biała była z wściekłości. Ona także więcej prawie cierpiała przez śmieszność męża, niż przez żal po stracie berła. Jej spojrzenia, przy śniadaniu, obiedzie i kolacyi i w każdej porze, kiedy się spotkali, nie mówiły mężowi nic, tylko: głupiec, błazen, dureń...

Król Andrzej nie pozostał długo w hotelu w Genewie; Męcki najął mu willę, nieopodal zamku Chillon nad Lemanem, i tam się król Andrzej umieścił z rodziną i otoczeniem.

Pieniądze, które zabrał z sobą, byłyby poszły prędko, ale Polan nie skonfiskował dóbr prywatnych króla Andrzeja; nie skonfiskował nawet majątku księżniczki Metelli Teresy. Król Andrzej miał więc byt zapewniony, nie królewski, ale dostatni.

I zaczęło się życie nadzwyczaj smutne. Króla Andrzeja nie mogły fotografować ciekawe Angielki i Amerykanki, ponieważ nie wychodził po za wysokie sztachety, zaplecione winogradem, swojego domu, natomiast i fotografować i podziwiać można było codziennie wyjeżdżającą na spacer Izabellę Piękną, która z majestatem reprezentowała zdetronizowaną królowę i osobę, obarczoną pod każdym względem nieszczęśliwym megalomanem. Jeżeli jednak „der fliegende Hollaender en miniature“, jak nazywano króla Andrzeja, włóczącego się całymi nocami na swoim yachcie po Lemanie, oraz zimna, wyniosła uroda jego żony przestali po pewnym czasie być głównym przedmiotem rozmów i uwagi gości w Montreux i Terriet, to za to tęga, wysoka, przystojna, w narodowy strój przybrana Marysia, „bohaterka“ zamachu stanu, a zarazem skandalu w Spa-

lacie, oraz śliczny, zamyślony Jerzyk cieszyli się nieustanną adoracją wszystkich sfer i narodowości, zgromadzonych nad jeziorem. O wizyty królewica Jerzego ubiegały się wszystkie damy i dzieci z arystokracji, puszczając się przed równie bogatymi, albo i bogatszymi nawet dziećmi z burżuazji, i ku zazdrości tych ostatnich dostępowały honoru grania z nim w piłkę i bawienia się w konie. Pewnego tygodnia, po podwieczorku dla królewica u jakiejś księżny, całe towarzystwo, nawet panie i panny między sobą żegnało się i witało:

„Jak się nazywa to, gdzie jest dużo zwierząt?”

Menażerya

A to, gdzie jest mało zwierząt?”

A Marysia, mówiąca trochę po niemiecku, pomnażała sławę Jerzyka wspomnieniami, jak to, kiedy miał trzy lata, oświadczył księżniczce Ziozi Bazarskiej: „Jerzyk kocha Ziozie, bo wszystkie grzeczne zwierzęta kochać trzeba”; jak śmiał się stary kardynał Albani, kiedy się go Jerzyk spytał, na co są księża, „kiedy potem nie są z nich ani mamusie, ani tatusie?” i t. p.

Punktem kulminacyjnym jednak sławy Jerzyka był jego wykrzyk, gdy rzucił piłkę do siedemnastoletniej jakiejś ślicznej panienki: „O! Trafiałem panią w sam czubek środka!”

Dla króla Andrzeja to dziecko umiłowane było źródłem jedynej pociechy i najżywszego cierpienia. Ono jedno osładzało gorzki upadek, ale też ze względu na nie upadek ten był tem okropniejszą klęską. Ten królewic, już prawnuk królewski, królewic w każdym calu swego małego ciała i w każdym atomie swojej dziecinnej duszyczki, czemże miał być? I co myśleć

będzie o nim, o ojcu, jak przeklinać będzie pamięć tego, który mu korony zachować nie umiał, z jakim rumieńcem wstydu czytać będzie w historii dzień upadku dynastji Zwonimirow!.. On, który niewątpliwie dynastję tę okryłby nieśmiertelną chwałą...

DCN.

Malarz słońca.

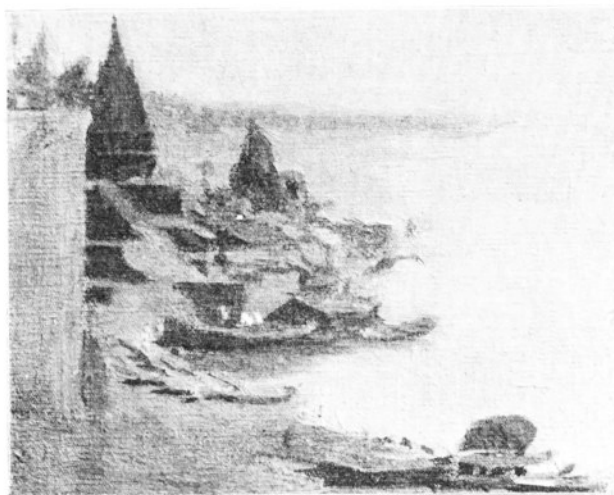
Rozmowa z artystą malarzem, prof. J. Ciaglińskim.

— Byłem już, kilka lat temu — mówił do mnie w pracowni swej prof. Akademii sztuk pięknych w Petersburgu, p. Jan Ciagliński — byłem w Egipcie, Syrii i Palestynie, przywoziłem był nawet z tamtąd mnóstwo szkiców, ale ciągle mnie coś ciągnęło do Indji: czułem, że tam znajdzie jeszcze większe efekty słońca, tego wielkiego, skrawego słońca.

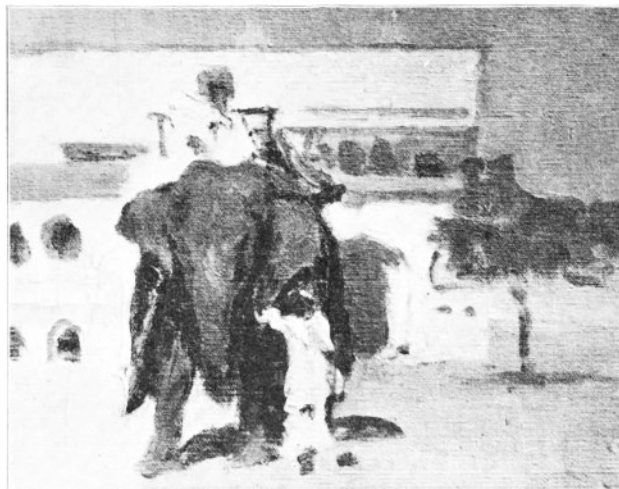
— I odbył pan tę podróż — z plonem obfitym, — zauważyłem, ciekawie wodząc oczyma po pracowni prof. Ciaglińskiego.

— Tak jest — odrzekł p. Ciagliński. Niedawno-m powrócił z Indji, dotarłem do Amedabadu, Udajpuru, Montaboe, do Benaresu, do Bombaju, byłem na Ceylonie. Przywoziłem z tamtąd siedmdziesiąt kilka studyów. Znalazłem tam to słońce, co się strumieniami leje, jak żar, a takie przejryste... Jakie tworzy to słońce efekty malarskie, to się żadną miarą wypowiedzieć nie da. Słoneczna Palestyna wydaje się w porównaniu z Indjami jakoś w kolorycie brudno-szarą. Takich światł, refleksów, takich poprostu niesłychanych niespodzianek świetlnych nigdzie nie można spotkać. Zarazbym wracał tam, do słońca! Bo choć ujałem na płótnie, co się dało, słońca nie wydarłem słońcu: tego w całej pełni nie zdoła uczynić nikt, żaden artysta.

Artysta-malarz zaczął się unosić wspomnieniami tylko co odbytej podróży. Opowiadając, czynił wrażenie,



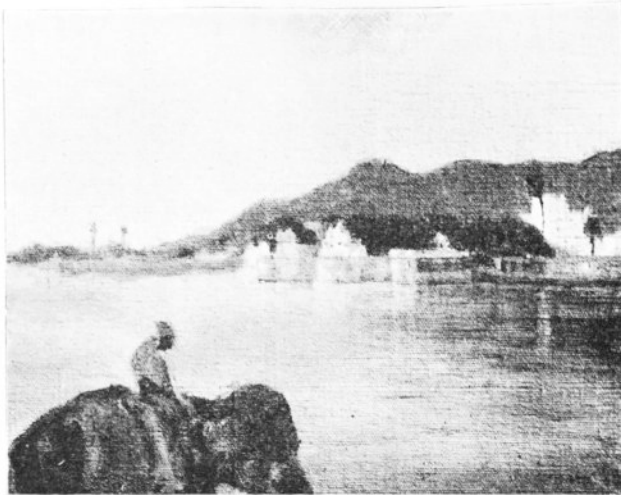
Jan Ciagliński. Benares nad Gangesem.



Jan Ciagliński. Stoi przed pałacem Maharadzy w Amborze.



Jan Ciagliński. Świątynia indyjska w Madrasie.



Jan Ciagliński. Widok Udaipuru od strony jeziora.

jakby z palety dobywał farb i jaskrawymi barwami podmalowywał tło opowiadania, gestykulował przy tem żywo, niemal, jak południowiec; wrażenie to podnosiła jeszcze cera smagła, która nie utraciła jeszcze opalenia południowego słońca.

— Przez dwa tygodnie podróży na statku przez ocean do Bombaju, o niczem się innem nie mówi, jak tylko o tych urokach, które napelnione są Indye. Kiedy nareszcie nad ranem, ledwo świt, wśród drgającej powiewnej mgły rannej, ukazały nam się zdala białe a tak jasne, tak wyraźne brzegi Indyi, zadygotało mi coś w piersi. Wnet myśl ponisła w krainę legend i marzeń, w krainę podań zaklętych a zdobnych w najcudniejsze barwy pereł, złota, rubinów, róż. A wszystko takie jakieś dziwnie majestatyczne...

Tęsknotą za słońcem powiało ze słów artysty.

— Blask słońca, cudowne piękno pejzażu, wprost oślepiająca jaskrawość białych pałaców i świątyń, — ciągnął prof. Ciagliński — wszystko to za pomocą zestawień barw, cieniów i linii ostаточно jako tako można wyrazić na płótnie. Ale jakże oddać ten nastrój wiecznie i bez końca odradzającej się wiosny? To bogactwo świata roślinnego, tę jakąś potęgę życia, które się samo odradza? Ot, jest tam dość nawet pospolicie rosnące drzewo, *ficus elastica*, drzewo, którego gałęzie, wrastając we własne konary, jakby odmłodzone wyrastają ciągle nowymi drzewami; gałęzie ich znów odmładzają się i wyrastają, jak z pniów, z własnych konarów. Jest to jakby symbol tego wieczyste młodego życia. Tam nawet zwierzęta mają jakiś inny wygląd, majestatyczny, poważny, często kroć są, jak w kamieniu zaklęte, wykućte pagody. Nawet ten byk w Benaresie, któremu Indusi w białych zarzutkach idą długim sznurem ofiarowywać białe i żółte kwiaty, jakoś patrzy wzrokiem tajemniczym, jakby czuł, o co chodzi, jaką misję spełnia...

— Fakirów pan widział? — zapytałem, zawsze ciekawy tych tajemniczych opowieści.

— Owszem — i nieraz. Raz, gdy malowałem pejzaż nad Gangesem, zbliżył się do mnie fakir. Nie miał nic w ręku, był zupełnie nagi. Po chwili jakieś zadumy-ekstazy, otworzył rękę, z której wysunął się duży krokodyl. Nigdy bym temu nie wierzył, gdybym był sam tego nie widział. To

to tylko, aby, składając się w całokształt spoisty, śpiewać hymn odwieczny, niezmienny na cześć majestatu przyrody.

Wyjmował ze swej teki prof. Ciagliński szkice swoje i, w ramy wstawiając, komentował treść każdego obrazu.

Więc naprzód szkic Bombaju ze statku, przesłonięty drobną rosą deszczu, zawiązanego wiatrem missouni. Dalej pałac Dilvara, pałac w Agra, pałace maharadzów w Amboze, stara świątynia w Czitorgardzie, w tem sławnym mieście, gdzie ludzi już niema, gdzie mieszkają... pawie, bo ostatni ludzie zginęli, gdy miasto muzułmanie szturmem brali: 80.000 kobiet, niechcąc iść w ręce najeźdźców, podpaliło się w jednym z pałaców. Dalej świątynia Bramańska w Jaim, świątynia w Montaboe, brzegi Gangesu, Udaipur, Benares, wreszcie stolica Ceylonu, Colombo i t. d. i t. d.

Jakby coś świętego, coś, co dziwne mistyczne, niezbadane a świetlane i wielkie, roztoczyło się majestatycznie w obrazach Indyi. Dziwny koloryt, jasny, przenikliwy. Niemal wszystkie przedmioty przenizane słońcem gorejącem. Indziej pod osłoną świątyni, omszonej mchem zielonawym, wystrzeliwa szerokolistny jasny banan, co jakby wszystkie promienie słońca wchłonał w siebie, bo zdala widnieje tylko na drugim planie szaroróżowe niebo, zlekka zaciągnięte, a z boku, jakby ramę tworząc, kapitel pałacu maharadzy, z białego marmuru, na którym łamią się w migocących cieniach zlekka zaróżowione blaski, — to znowu jakby szarym otulona tumanem jakaś stara budowla maurytańska: to pamiątka po Maurach, świątynia, na płótno przeniesiona przed słońcem, przed wschodem, jakby zatumaniona pyłkowatością przeżrocza. To znowu: szeroko rozlany, majestatyczny, ów boski Ganges, ginący gdzieś woddali w bezbarwnym bezmiarze, a nad jego brzegami białe z marmuru a skąpane w żywej toni słońca pałace Benaresu, na pierw-



Prof. Jan Ciagliński w swej pracowni przed portretem, który wykańcza. Artysty Jerszowa, w dali zaczęty portret pianisty kompozytora Rachmaninowa (przy fortepianie).

znowu przesiąknięty wodą piasek wziął w rękę i wysypał całą dłoń zupełnie suchego piasku. Patrzałem na to, alem się nawet nie dziwił: w takiej się jest tam bez ustanku ekstazie, w takim zachwycie, że traci się zupełnie możność podziwu. Ciągle miałem uczucie, jakby promienie słoneczne przeszły mnie wskroś, tak, że jestem niemal tem słońcem; ta dziwnie przejrzysta dal wchłaniała mnie tak całkowicie, że zupełnie traciłem poczucie własnej osobowości. Przenika tam dziwne człowieka uczucie, iż jest cząstką składową tego okalającego wszechbytu, który istnieje na

szym zaś planie, u brzegu rzeki—słoń,—zwierzę tej krainy.

— Gdzie i kiedy ma pan profesor zamiar te światłości ludziom pokazać?—zapytałem.

— Wkrótce zaczniesz się tu wystawa t. zw. związkowców. (Jest to wystawa kwiatu sztuki nad Nową). Oddano mi do mej dyspozycji, wyłączone dla moich szkiców, oddzielny pokój na tej wystawie. Urządzą więc niejako całą panoramę Indyi.

— A Warszawa?—zapytałem.

— Owszem, zaraz potem chcę tę kolekcję wystawić w Warszawie. Przecież nie mogą jej pominąć.

Petersburg.

Quidam.



Kobiety w najnowszej literaturze niemieckiej.

Na półkach księgarskich pojawiły się równocześnie niemal powieści dwóch wybitnych autorów niemieckich, dziwnie do siebie zbliżone założeniem i akcją. Nie jest to przypadek. Obaj autorowie, Wildenbruch i Hollaender, obserwują życie współczesne; jednemu i drugiemu nasunął się typ młodej, poważnej kobiety, ginącej w wirze nowych prądów.

Ernest v. Wildenbruch, który od niedawna, opuściwszy Berlin, zamieszkał w zacisznym Weimarze, osnuł powieść swą „Lukrecja” na tle berlińskim. Bohaterka jego, Lukrecja Morgenheimer, to zachwycające, inteligentne i szlachetne stworzenie, które mogłoby być uszczęśliwić siebie i wybranego przez się mężczyznę, gdyby nie feminizm. Nowe pojęcia o zadaniach kobiety obudziły w niej ambicję, do której talent jej nie dorósł, a która staje się jej zgubą, podkopując z wolna moralność jej w szalonej pogoni za upragnionym „sukcesem”.

W rozmowie z chorą matką „nowa kobieta” tak rozwija swe poglądy: „Dla nas to, co dawniej kobiety uszczęśliwiała, straciło wszelki urok... Nie uważamy już za szczyt szczęścia,—być przykutą przez całe życie do pana i władcy, służyć mu za zabawkę, gdy jest w dobrym humorze, a za piorunochron, gdy się zasepi... Myśmy zrozumiały, że kobieta bynajmniej nie jest jedynie stroną przyjmującą, jak dawniej twierdzono, a mężczyzna stroną udzielającą... Wiemy dziś, że same posiadamy zdolności twórcze, że zatem mamy prawo do komponowania, nie czekając na „leitmotyw” mężczyzny... Słowem, jesteśmy indywidualnościami, zupełnie, jak oni. A kto jest indywidualnością, ten ma prawo do rozwijania jej. To też czynimy, ponosząc wszystkie konsekwencje.”

W odpowiedzi matki streszcza się najwidoczniej opinia Wildenbrucha o ruchu pseudo-feministycznym: „Czy mam ci powiedzieć, jak się rzeczy mają? Jest tam między wami parę istotnych talentów o własnych głowach i własnych myślach. I te wam głoszą ewangelie swą. Lecz reszta, dziewięć dziesiątych z was, emancypantek, nie posiada własnych myśli. Was popycha tylko jakiś popęd niejasny, pusta ambicja, chęć dorównania tym nielicznym uzdolnionym... Próżność, próżność, oto wszystko, co w was wre i pali... Chciałybyście wyrwać się z natury. Gwałtem pragniecie być czemś więcej, innymi, niż was natura stworzyła. Gwałtem chcecie wydusić coś z siebie, a tymczasem na nie zdobyć się nie możecie, bo jesteście bezzilne.”

Lukrecja nie chce wierzyć w tę bezzilność swą. Chce być poetką, śpiewaczką, malarką, nie mając do niczego wybitniejszej zdolności. Możeby życie ją pozbawiło iluzji co do własnego uzdolnienia, gdyby nie była—piękną kobietą. Ryszard Mandler, młody kompozytor, typ karyerowicza artystycznego, którego Lukrecja pociąga zmysłowo, korzysta z ambicji jej, by wkręcić się w jej łaski. Dzięki stosunkom swym dopomaga jej do chwilowych, sztucznych sukcesów. On to urządza jej wystawę i koncert, on wystawia pod jej nazwiskiem dramaty, którego nie jest autorką. Daremnie Lukrecja, która w gruncie gardzi Mandlerem, pragnie go odpychać od siebie. Daremnie inny wielbieli, szlachetny mistyk, Erwin Gronemann, stara się wzniecić w niej płomień czystszej uczucia. Śmierć matki odbiera jej ostatnią podporę. Pewnego wieczora, po sutoj ucztie z szampanem, Mandler odprowadza ją do domu i zostaje jej kochankiem. Ochłonawszy z oszołomienia, zrozpaczona dziewczyna popełnia samobójstwo.

Feministki nie będą zadowolone z tego utworu Wildenbrucha, niezaprzeczanie tendencyjnego. Z mniejszą niechęcią może przeczytają powieść Feliksa Hollaendera „Charlotte Adutti”. I „Charlotte jest typem młodej kobiety, którą życie stawia wobec nowych pra-

dów moralnych. I ona jest zbyt słabą, by podołać walce. I ona pada ofiarą niemocy, chwając się między dwoma mężczyznami o odmiennym charakterze. A jednak psychologia jej jest inną: stoi ona moralnie wyżej, niż Lukrecja, i o wiele żywszą budzi sympatię.

Ojciec Charlotty, stary księgarz Adutti, był człowiekiem o naturze artystycznej, wykolejonym przez nieszczęśliwe małżeństwo. Charlotta oddzieliła go od niej tęsknotą za pięknem w życiu. I ją zmuszają wyjść za człowieka, którego kochać nie może. Daremnie ojciec, przewidując tragiczny los jej, pragnie ją ochronić przed tem małżeństwem. Matka i rodzina jej, złożona z ludzi arcypraktycznych, upatrują w chemiku Muellerze dobrą partycję i pokonują opór dziewczęcia.

Małe miasteczko fabryczne, w którym Mueller znajduje posadę, unieszczęśliwiłoby Charlottę do reszty, gdyby nie stanął nagle na drodze życia jej mężczyzna-przeznaczenie. Jest to dyrektor fabryki, były oficer artylerii, Brand, człowiek już pięćdziesięcioletni, ale imponujący i pociągający zarazem, bo przystojny, uczony, niezwykle zdolny i szlachetny.

W sercu Charlotty powstaje konflikt głęboki. Instynkt podszeptuje jej, że powinna oddać się ukochanemu; lecz moralność, wpojona jej od dzieciństwa, dzieli ją od Branda. Daremnie Brand stara się pozyskać ją dla własnych poglądów, zdobytych w długiej walce życiowej. I on przez lata jeżał w okowach nieszczęśliwego małżeństwa. Nareszcie zdobył się na to, by zerwać te więzy, choć wiedział, że druga strona okupi to śmiercią. Tę siłę oswożenia się zowie „nowym sumieniem”. „Inni — twierdzi — ci, co chorują jeszcze na stare sumienie, cofają się przed ostatnią konsekwencją. Współczucie dla drugiej strony wyzer im szpik z kości i uniemożliwia im akcję.”

Lecz Charlotta czuje, że nie należy do owych kobiet silnych, przesiąkniętych już nowym sumieniem. Kiedy mąż jej wyjeżdża na parę miesięcy w celach naukowych, między nią a Brandem rozgrywa się tylko sielanka niewinna. Jednak, gdy Mueller wraca, czuje się winną i rozwiązuje konflikt samobójstwem. Była naturą zbyt czystą, by znieść kompromisy sercowe. „Była prawdziwszą, niż życie—przyznaje mąż nad trupem jej—dlatego nie mogła znieść ciężaru jego.”

Poznaliśmy typy poważne, w których literatura niemiecka odzwierciedla istotę kobiety współczesnej. Na zakończenie—wiązanka aforyzmów satyrycznych, które znalazłem w dwóch tomikach, świeżo ogłoszonych. „Frauenspiegel” Oskara v. Schoenfelda warto wziąć do ręki już dla zgrabniejszych ilustracji Zamboniego. (Nakładem Rosena w Charlottenburgu). Pomysł Schoenfelda nie zawsze są oryginalne, lecz, o ile się zapożyczy, czyni to z dowcipem. Oto niektóre z jego aforyzmów o małżeństwie.

„Dlatego tylko stan małżeński zo-



Ernest v. Wildenbruch.

wią świętym, że wydaje tylu—mężczyzników.”

„Małżeństwo jest pierwszym głupstwem, które człowiek popełnia, gdy się stał roztropnym.”

„Długie narzeczeństwo ma tę korzyść, że małżeństwo jest o tyle krótszym.”

„Nie chwał życia przed weselem.”

„Małżeństwo jest krokiem tak ważnym, że powinno się rozważyć go przez całe życie.”

I obserwacy Schoenfelda, dotyczące się psychologii kobiet, zdradzają salonnego mizogina:

„Kobiety cenią mądrego mężczyznę wówczas dopiero, gdy popełnił dla nich głupstwo.”

„Najłatwiej rumienia się kobiety, które nie mają do tego powodu; najbardziej dbają o dobrą sławę te, które już stracić jej nie mogą.”

Samoistniejszym i sprytniejszym satyrykiem jest Otto Weiss, autor zbioru złośliwych aforyzmów „So seid Ihr!” (Deutsche Verlagsanstalt, Sztuttgart i Lipsk). I jego uwagi nie są komentarzami dla kobiet:

„Próżność męska jest tak wielką, że przewyższa ją tylko—kobieca.”

„Skoro kobieta się chwieje, rzecz już rozstrzygnięta.”

„Wszystkie listy miłosne kłamią: zaraz lub potem.”

„Kobiety bardziej są czczone od bogów, ale też częściej nas wysłuchują.”

„Pewien pedagog twierdził: należałoby dziewczęta w pewnym wieku objaśnić co do rzeczy, które im już są wiadome.”

„Ideal męski, wspólny wielu kobietom: lew o cierpliwości jagnięcia.”

„W każdym małżeństwie, opartem na równouprawnieniu, przewagę ma kobieta.”

„Gdzie człowiekowi przyjemniej, niż na łonie rodziny,—i gdzie nieprzyjemniej?”

„Niejednej kobiecie nie pomaga hardość: nikt jej nie pożąda.”

„Ze pożycie małżeńskie ma dużo miłych stron, któżby temu przeczył? Chyba żonaty.”

„Kobieta jest niezadowolona, skoro się w niej stronę umysłową niżej ceni, niż fizyczną,—a coś dopiero, gdy się stronę fizyczną niżej ceni, niż umysłową!”

Berlin.

Stwos.



Naa morzem.

Ten smutek, cichy smutek ducha,
na który palm dziś liście wieją
i dmie od morza zawierucha:
to Krzyż wspomnienia nad nadzieją.

Jakże swobodny, wolny chodzę
i na to morze dziś poglądam,
gdy nie nie spotkam na mej drodze,
nie czekam, ani nie pożądam.

Danem mi było, co być miało—
czy nic, czy wiele: wszystko jedno,
gdy zmarło już i spoiętało,
w leciejskie poszło już bezdrożno.

Pod temiż palmy, nad tym brzegiem
chodziłem niegdyś, człowiek młody,—
mój smutek wówczas był szeregiem
tal szturmującej skały wody!

Swobodny, wolny dzisiaj chodzę,
niczego nie wyglądam zgola,
gromada cieniów na mej drodze
życia odemnie, kształtów wola.

Życie więc krwią mą puste mary,
kradnijcie życie moje dla się,
a kiedy złożą mnie na mary,
czcze imię kołysajcie w czasie.

Jak łódź je kołysajcie spotem
na morzu życia niezmierzonym,
żem był, żem myślał i że wziąłem
nagrodą—nic, a pustkę płonem.

Te zimne, głuche, sztywne palmy
to są jedyni przyjaciele,
jedyne chór—to wichru psalmy,
współmyśli z obcym morzem dziele.

Więc czy nie byłem tam zblakłym
pielgrzymem z jakiejś obcej ziemi,
gdy głos mój tlał, choć był słyszany,
i do mnie — ludzie byli niemi?...

Czegóż ty, morze, możesz żądać?
Nic—jesteś morzem: wszystko twoje,
i mnie już nic tu nie wyglądać —
gdy po za wszystkim mojem stoje.

KAZIMIERZ TETMAJER.



Przed i za progiem.

Często dwóch czy więcej Polaków, znalazłszy się za domową granicą, u stóp kolumny Vendôme, na Friedrichstrasse lub „ryngu”, w mieście Strausowskiego walca i *petite bebé*, słodkiej naddunajskiej dziewczyny, roztrząsa ojcyste sprawy i zalewa żółcią swojczyznę. Grzmiały narzekania, lecząc cięcia na prawo i lewo, odbywa się grzebanie w trzewiach narodu. W przedziałach wagonów padają w gorącej gawędzie race krytyki,—upióry naszych bólów wstają tyle razy w egzotycznych kawiarniach, barach, klubach!... „Paw narodów i papuga”, obnoszone godnie przez ręce rodaków, obdzierane bywają na cudzoziemskich brukach z pierza i kasy. Zawzięci i wyzwoleni woddali z wszelkich przymusów i skępowań zoile, nie mają litości nad nikim i niczem,—żaden przetak, żadne współczucie nie zdola zahamować ich zapalczywości. Stoją tedy zwycięscy,—bo przez nikogo nie zwalczeni, ani w szranki wyzywani,—z sardonicznym

uśmiechem i zadowoleniem, istni mędracy pańscy, wielcy asesorzy z sanhedrynu,—po dokonaniu niezłomnego sądu. Dobrze,—gdy między sobą. Dźwięczy jednak niekiedy głos ich wynurzeń wobec obcych, wierzących chętnie i tworzących następnie kąt swego patrzania na rzeczy polskie. Dzisiejszy Francuz, którego mądrość geograficzna nie sięga za Wogezy, a nawet przed niemi płacze się, powtarza zakorzenione u siebie przysłowie: *soûl, comme un Polonais* (pono z epoki Walezego),—a po życzliwych wyjaśnieniach z ust naszych ziomków, dołączaj do *soûl* wszelkie obrzydliwe ułomności, gorsze od owych, które znajdował za morzami Guliwer w fantastycznych podróży Swifta. Niemiec nie lęknie komentara. On się wychował i wysłał z krwi nienawiść do „ziemi niedźwiedzi”,—powtarza oklepiane formuły o polskim gospodarstwie, jeżeli zaś jest austriakiem, zna romanse Sacher Masocha, zostawiając bratu z Rzeszy deklamowanie Heinowskiego wierszyka o Waszlapskim i Krapiłńskim... Pocóż do ognia dolewać oliwy? Tak się, niestety, dzieje. A więc, ubolewania nad naszą nieproduktywnością słowniąską, brakiem systematyczności, wytrwałości, nierząd, kastowością, nad szeregiem grzechów, zamieszczonych niegdyś w indeksie Modrzewskiego, Skargi, Jabłonowskiego i tyłu statystów, nawołujących do odrodzenia się, do przelania w narodową duszę światła, promieni, blasków, spływających z wiecznie odmładzającego się drzewa poznania i udoskonalenia. Tylko,—tamci gryźli sercem,—ci nowi—językiem, tamci posiadali odwagę i znali wagę czynu, dla tych—jedynym ciężarem gatunkowym dążności jest chęć wygadania się, tak zwane gminnie: pytlowanie. Pytluja przeto dowoli, znalazłszy się za rzekami i górami, oczarowani innym otoczeniem, ulegając wzrokowemu złudzeniu chwilowych odmian i uginając się pod ich powierzchowną, najbardziej płytką orientacją. Przez porównanie dwóch wartości, dobrze znanej i nieznannej, ale nęcącej cudzoziemską, traci pierwsza, przybierając potworne niemal kształty i okrywając się jedną brudną plamą. Są i głębsi spostrzegacze,—nie zakłóci bezwzględnie egzotycznym upojeniem. Z zestawienia wynoszą i oni skalę niekorzystną dla swej ojczyzny, choć patrzą trzeźwo, spokojnie. Przed nimi roztacza się wielka płaszczyzna spateń i wad, trzebiona, a jednak wyrastająca znowu,—niby klasyczna ananke—konieczność, pochłaniająca pokolenia w tragediach Ajschylosa i Sofoklesa. Czują brak jednomyślności, rozterkę, szarpającą społeczeństwo, zawiść, niechęć względem zasługi, marnowanie sił ludzi, pogoń za Horacyuszowskim: *virtutem incolumem odimus, sublatam ex oculis quaerimus invidi*, nie kościmy cnoty. gdy żyje, a zazdrośni szukamy znikłej z oczu... Ci podziwiają moc, tężyźnię, potęgę różnych objawów obcego rozwoju, a brzydzą się naszym beładem życia... Znachodzą się także nerwowcy, przeanalizowani i przedelikaceni, przepelnieni

kulturą, co—równie przed, jak i za swoim progiem, narzekają na rodzinne stosunki i szepczą ze Skargą: „zginęła w tem królestwie karność i dyscyplina, bez której żaden rząd uczynić się nie może, którą Pismo święte pilnie wszędzie zaleca”. Zginęła... to ostatnie słowo... i wzgardliwe poruszenie dłoni. Te trzy kategorie ciekawą noszą maskę. Pierwsi, najbardziej pospolici, powróciwszy w domową zagrodę, opowiadają po handelekach cuda, przypominające nieraz fraszki Radziwiłłowskie o weselu syreny ze ślepiem. Na ich palecie, podmalowanej spłowiałymi farbami, znajdują się tony z garkuchni.—Mazagran pije się tak, mospanie, grenadynę ciągnie się słomką,—albo szczęśliwiec, jeśli był w Moskwie lub Petersburgu,—natykał się prostokwaszu.

Po trunkowych lub żołądkowych nadzwyczajnościach, wpadł do muzeów, przeleciał, jak przez szpaler cmentarzyska, nacytawszy się napisów na marmurach lub płótnach. Ale tam inaczej, ho, inaczej!.. tylko nie wie, na czem owo sakramentalne „inaczej” polega i najspokojniej brnie w dawnych swoich zwyczajach. Drudzy jasnowidze trafne robią spostrzeżenia po to, aby pod własnym dachem nie wyciągnąć z nabytego doświadczenia korzyści i mimo krytyki tkwić w tradycyjnem niedołęstwie. Trzeci, dekadenci, oglądają ciało społeczeństwa, jak trupa—i stoją nad nim obojętnie. Bo w jakim celu nasi podróżują? Czy dla wiedzy, dla praktyki, rozszerzenia umysłowych światów? Nie! Iksińscy i Iksińskie wyrzucają pieniądze, hołdując modzie i chęci zadania sztyku sąsiadom, Ypsylońscy i Ypsylońskie szukają szczęścia przy rulecie lub „małych konikach”,—wreszcie są miłośnicy włóczęgi dla włóczęgi. Po Anglikach i Niemcach, chyba najwięcej Polaków przebiega Europę,—mimo utyskiwań na ciężkie czasy i złe warunki bytu!... Jakież ci ludzie, nasarkawszy się zazwyczaj na swojszyznę, wynoszą z zachodu reformatorskie dążności? Ledwie przekroczą krajowe progi, zapominają o mentorskiej todze i sami to czynią, co krytykowali, zaludniają głowę myślami, potępionemi woddali!... Jest to rozstrój między słowem a działaniem, uwidaczniający się w wielu kierunkach narodowego rozwoju, sprzeczność między umiejętnością odczuwania i uświadamiania sobie pewnych pojęć, a niezdolnością ich wykonania.

Kto wie, czy właśnie ta niezaradność w zetknięciu się z rzeczywistością, zatrzymująca się na słowach i zamierająca przy ich spełnianiu, nie jest najsilniejszą sprężyną surowej analizy i hyperkrytycyzmu, stopniującego się do ogromnych rozmiarów, ilekroć w obcych przebywamy ramach. Trudno o społeczeństwo bardziej skłonne do porywczosci i przesłizgiwania się w sądach po samych wierzechach.

Już świetny obserwator na przełomie XVII i XVIII wieku, Jan Stanisław Jabłonowski, zauważył w nieocenionym „Skrupule bez skrupułu”: „W żadnym narodzie nie jest tak powszechna *curiositas* i chciwość *quaerere macula in*

sole, jako w Polakach”.... Tak, szukanie plam na słońcu i przetrząsanie nawet cnoty—to widowisko nie rzadkie. Jest złe, chodzimy w pokutniczych szatach i wlecemy za sobą tysiące cierpień. Nawoływano nas tyle razy do kajania się i poprawy, ale, niestety, zbyt często mądrzejemy po szkodzie. Stare, anarchiczne obyczaje, prawdziwa kaźń dziedziczna, wciskają się w nowoczesną duszę polską, przybierając tylko inne formy. Złota wolność nie krzyczy „nie pozwalam”, przeto nie ma potrzeby uciekać na Pragę, lecz często brzdzi i burzy harmonię społeczną i rozkopuje najlepsze chęci.

Nie spełniają się też napomnienia złotoustego kaznodziei o miłości, co „rodzi zgodę,—a bez zgody miłość być nie może”. Znalazłby Skarga w zwierciadle Zygmuntońskich czasów odbijające się i dzisiejsze polskie oblicze, poorane w brudzy znanych sobie i gromionych grzechów. Lecz cóż z tego? Czy wypada Polakowi, zamiast otrząść się z pleśni i skapać w nurcie

odrodzenia, roznosić żale na błędy narodowe przed całym światem, aby po wykrzyczeniu się—potem je na własnych śmieciach pielęgnować, jak drogą roślinę? Każdy u siebie powieździe może ze Stańczykiem Wyspiańskiego: „Domek mały, chata skąpa: Polska, swoi, własne lzy, własne trwogi, własne sny, własne brudy, podłość, kłam; znam, zanadto dobrze znam”... Samopoznanie jest połową drogi do ocknienia i zawrotu z mylnych ścieżek; samoszkalowanie prowadzi do wyrobienia się pustej demagogii. Gdy krytyka nie bije tętnem miłości i celowości, tylko jałową gadaniną, gdy nie przybiera się w powłokę czynu, wnosi tylko zamęt i rozstrój—zamiast uzdrowienia i harmonii. A zgola zbrodnią jest wywlekane własnego upośledzenia przed obce forum, równie złą i ciężką, jak owe historyczne związki, co sięgały po obronę swoich praw a raczej bezprawia za ojcyste progi. Gdy przed cudzoziemcami szaty rozedremy z pogardą dla siebie,—oni naplują na nasze nagie ciało...

E. Luniński.

Uczony lituanolog

(KSIĄDZ PROF. KAŻ. JAWNIS).

Ze śmiercią ś. p. prof. Kazimierza Jawnisa świat naukowy litewski postradał poważnej miary filologa, zbyt mało znanego szerszemu ogółowi z powodu chorobliwego wstrętu do pisania, jaki oddawna opanował tego uczonego.

Urodzony w r. 1849 w chacie zamężnego właściciela żmudkiego we wsi Lemby w parafii chwejańskiej, pow. rosińskiego, gub. kowieńskiej, ukończył seminarium duchowne w Kownie i Akademię duchowną petersburską ze stopniem magistra św. teologii w r. 1879.

Niezwłocznie powołany na katedrę do seminarium kowieńskiego, wykładał w niem od r. 1880 do 1883 włącz. prawo kanoniczne, potem w ciągu półtorarocza był sekretarzem biskupim i od r. 1885 aż do końca roku 1892 nauczał alumnów teologii, homiletyki i jęz. łacińskiego.

Cały czas swój wolny od pracy obowiązkowej poświęcał badaniom lingwistycznym, zwłaszcza sanskrytu i pokrewnego mu jęz. litewskiego. Znając wybornie jęz. hebrajski, asyryjski, chaldejski, fiński, grecki, łacine, wszystkie słowiańskie i niemal wszystkie europejskie, operował niemi z łatwością w swych studiach nad filologią porównawczą, *zarazem mając na celu przedewszystkiem jego język ojczysty—litewski*. W r. 1893 ukazała się w jęz. rosyjskim pierwsza jego rozprawa drukowana p. t. „*Właściwości dyalektologiczne języka litewskiego w pow. rosińskim*”, skromnie włączona do monografii tego powiatu innego au-

tora w urzędowym kalendarzu (*Pamiatnaja kniżka*), wydawanym corocznie przez kowieński komitet statystyczny. Niestety, nieporozumienia, wynikłe ze zwierchnością dycezyalną w tym czasie przerzuciły ks. Jawnisa w tymże roku na probostwo do Kazania. Wstrząśnienie moralne, połączone z ową tranzlokacją, wywołało pewien rodzaj rozstroju nerwowego, grożącego nawet życiu, który zamienił się wkrótce w chorobę woli, nie opuszczając go już aż do zgonu.

Po dwuletnim pobycie w Kazaniu, wrócił na czas pewien na Żmudź, gdzie w dalszym ciągu pracował nad jęz. litewskim; w r. 1897 prace te ujęte zostały w kurs gramatyki litewskiej, hektografowanej w tymże języku przez b. jego uczniów w 30 egzemplarzach in 4^o str. 338, noszącej tytuł „*Lieluviskas kalbomokslis. Baltiko padangese*”.

Zaś w latach następnych 1898 i 1899 znowu w języku rosyjskim i w kalendarzu oficjalnym kowieńskiego komitetu statystycznego drukuje się cenna rozprawa jego p. t. „*Język litewski powiatu poniewieskiego*”.

Uzyskawszy w tym czasie trzystorublową emeryturę, zamieszkał w Petersburgu, gdzie swemi odczytami w Akademii Umiejętności zwrócił powszechną uwagę uczonych miejscowych, a biskup Niedziałkowski powołał go w r. 1899 na katedrę języka gre-

ckiego i hebrajskiego oraz litewskiego w Akad. duchownej. Wykłady jego cechowała nie tylko głęboka erudycja, lecz



Ś. p. ks. prof. Kazimierz Jawnis.

w talent dydaktyczny. W r. 1900 znowu w kalendarzu kowieńskim umieszcza rozprawę o „*Intonacji dźwięków samogłoskowych w jęz. litewskim*”. Wkrótce potem zostaje członkiem Akad. umiejętności petersburskiej i krakowskiej, a Akademia krakowska przedsięwzięła wydanie nowe gramatyki jego z egzemplarza hektografowanego pod redakcją samego autora, lecz zaledwie parę arkuszy zdołał przygotować, tak że druku nie rozpoczęto. Nadto w r. 1904 otrzymuje propozycję objęcia katedry filologii litewskiej, powstałej z fundusów prywatnych, przy uniwersytecie Jagiellońskim, atoli stale wzmagająca się choroba nerwowa nie pozwoliła na zmianę miejsca, zresztą w r. 1906 ks. Jawnis zupełnie opuścił katedrę Akademii duchownej, pozostając i nadal w Petersburgu na szczupłej emeryturze. Na żądanie towarzystwa wydawniczego litewskiego pod wezwaniem Św. Kazimierza w Kownie w ostatnim roku życia podyktował studentowi-filologowi p. K. Budze gramatykę jęz. litewskiego, będącą rozwinięciem owej hektografowanej. Tow. S. Kazimierza druk jej już rozpoczęło, i wkrótce ukaże się ona na półkach księgarskich. W d. 25 lutego r. b. sześćdziesięcioletni, schorowany, zboleły proboszcz zasnął na wieki, pozostawiając w spuściźnie naukowej ok. 2500 arkuszy zapisek filologicznych, których uporządkowania podjął się młody filolog litewski, p. K. Buga, natomiast drogocenna księżnica zmarłego ma stać się pono własnością wileńskiego Tow. Przyj. Nauki.

Towarz. S. Kazimierza swym sump-tem przewiozło zwłoki uczonego do Kowna, gdzie w d. 1/14 marca odbył się uroczysty pogrzeb.

Michał Brensztejn.



Dyalog o wolności.

Commentarz. Koniec pogrzebu bez udziału duchowieństwa. Grabarze zajęci zasypywaniem dołu. Przypatruje się dwóch ludzi, jeden—grubszy i porządnie ubrany, drugi—chudy i niemożliwy pod każdym względem. Obaj zakłopotani ponieważ obrażając „prostotą” aktu, jako też swą wzajemną obecnością. Wreszcie:

OBYWATEL. (przedstawiając się) Krupka...

CYGAN. (z zakłopotanym uśmiechem) Bardzo mi przyjemnie... jak to mówią.

OBYWATEL. Pana znam. Pana zna całe miasto...

CYGAN. (j. w.) ...Jak zły szeląg, chce pan... dobrodziej powiedzieć... Nieprzyjemnie mi bardzo, że mam w takiej chwili pomarańczowy krawat, ale...

OBYWATEL. (ujęty „dobrodziejem”) To nic. Panu wolno wszystko... Jak się nie ma obowiązku wobec... (robi gest okrągły, oznaczający mniej więcej „towarzystwo” czy „społeczeństwo”). Zresztą zdaje

mi się, że jesteśmy jedynymi uczestnikami pogrzebu...

CYGAN. To fakt pewny, nieulegający kwestyi.

OBYWATEL. Pan go znał?

CYGAN. (wskazując na grób) Tego tu?

OBYWATEL. Właśnie.

CYGAN. Powierzchnownie... Pożyczylem raz od niego dziesiątkę...

OBYWATEL. (z pełną indygnacją) Nawet od niego?

CYGAN. Nie mam żadnych przesądów... Pominąwszy okoliczność, że nikt inny nie byłby mi pożyczyciel... Może... pan dobrodziej?

OBYWATEL. Nie.

CYGAN. (pogodnie) A więc... (zdejmuje kapelusz) Polecam się, jak to mówią, łaskawej...

OBYWATEL. (zatrzymując go) Przepraszam... Muszę się dowiedzieć od pana, dla czego zastrzelił się mój siostrzeniec... Bo to nie prawda, że pan go znał tylko...

CYGAN. ...Tylko tak, jak człowiek człowieka, nie więcej, zapewniam... Dlaczego się zastrzelił, pyta pan dobrodziej? W tej chwili sam nie pojmuję, bo cieszę się na symfonię № 11, którą niedługo zacznę... Ale może dla tego, że był młody...

OBYWATEL. Co to znaczy? Przecież i ja byłem młody... a dotąd żyję...

CYGAN. Tak, chwała Bogu... he, he...

OBYWATEL. O, jak sobie pomyślę, że czeka na mnie w domu ciepła kawa i rodzina!... Straszny jest ten cmentarz w deszczu... Dziękuj panu niebu za lekko-myślność... Ale poważniejsi ludzie... ja zastanawiam się nieraz głęboko nad śmiercią...

CYGAN. Tylko nieraz?... Może dlatego, że pan dobrodziej już siwy...

OBYWATEL. (obrażony) ...Mocno*?..

CYGAN. Ja myślę o śmierci co sekundy... namiennie. Jestem jeszcze w pełni sił... Pan zna moje ostatnie kompozycje?

OBYWATEL. (j. w.) Te, których nikt nie rozumie... nie. Ani ostatnich, ani żadnych. Nie mam słuchu. Wiem tylko, że pan czasem choruje z głodu.

CYGAN. Mimo to jestem w pełni sił. I dlatego myśl o śmierci nie straciła dla mnie jeszcze swego słodkiego uroku...

OBYWATEL. (zły) Nonsens.

CYGAN. ...Jest mi nieodstępna towarzyszką doli i niedoli... A że siostrzeniec pana dobrodziej, ten, którego właśnie zasypują, był jeszcze odemnie młodszy...

OBYWATEL. (j. w.) Zwaryować można... co to ma z młodością? Chociaż nie mam słuchu, to jednak kretyne nie jestem. Im człowiek młodszy, tem, zdaniem mojem, więcej lubi życie...

CYGAN. Święte słowa... Tem więcej lubi życie, i... tem więcej — starsi, stateczniejsi ludzie żyć mu nie dają...

OBYWATEL. (wybuchając) Ja nie dawałem żyć memu siostrzeńcowi!... Przeciwnie... Starłem się wszelkimi siłami zmusić go do pracy pożytecznej...

CYGAN. Kto mówi o panu dobrodzieju i o...

OBYWATEL. Pan, pan... cały czas!...

O, tam, nad grobem, obserwowałem pana, wiedziałem, co pan o mnie myśli... Gdybym był dał temu młodzieńcowi pieniądze, nie nauczyłyby się nigdy pracować pożytecznie... Zeszedłby na takiego człowieka, jak pan...

CYGAN. Zupełnie się zgadzam z panem dobrodziejem... Temu... „młodzieńcowi” chodziło o wolność, której nie widział w „pracy pożytecznej”, bo był artystą... Ale...

OBYWATEL. ...Pan mu głowę przewrócił!

CYGAN. ...Ale pieniądze, które dostałby od pana dobrodziej, nie dałyby mu także wolności...

OBYWATEL. ...A więc!

CYGAN. ...Bo w życiu nie ma wolności!

OBYWATEL. ...Głupstwa!...

CYGAN. ...Życie jest...

OBYWATEL. ...Spełnianiem obowiązków.

CYGAN. ...Czyli: jest niewolą. Zdaniem mojem, czyli: pana dobrodziej...

OBYWATEL. Ja nie mam nic z pańskim zdaniem!

CYGAN. ...Niewola jest tak daleko związana z życiem, tak beznadziejnie w tem życiu konieczna, że stara, jak świat, i zwłaszcza nam młodym wspólna tęsknota do wolności jest tylko zamaskowaną tęsknotą do śmierci. W tem jest cały absurd bytu; najgoręcej tęskni do śmierci — młodość...

OBYWATEL. Absurd jest w tem, co pan mówi, tylko w tem. Ja czułem się zawsze wolnym człowiekiem. Zresztą... zwracam uwagę, że pan ma łysinę, a dziwnie mało zębów...; śmieję się z pańskiego „nam młodym”!... Ile pan ma lat?

CYGAN. Ja... jestem muzykiem. Nie mam lat. Mojem przekleństwem jest: zawsze być młodym i zawsze znosić bóle młodości...

OBYWATEL. Pan zepsuł mi z pewnością siostrzeńca... z pewnością... Pan jest powodem tego, co się stało...

CYGAN. A pan będzie powodem, jeżeli nie będę dziś w nastroju i nie uda mi się początek symfonii № 11... Przysięgam sobie zawsze nie mówić z obywatelami.

OBYWATEL. (ironicznie) Więc dla czego łamie pan przysięgę?

CYGAN. ...Nie mogłem odmówić sobie rozkoszy zatytułowania osoby w cylindrze „panem dobrodziejem”... Zresztą pan zagadał mnie pierwszy...

OBYWATEL. ...Nikt nie zmuszał pana dać mi odpowiedzi... Mógł pan odwrócić się i odejść.

CYGAN. Nie mogłem. Gdybym był tak zrobił, nie napisałby Rittner tego dialogu.

OBYWATEL. (blednąc) Cynizm...

CYGAN. ...Ha, ha... przepraszam pana dobrodziej, ale nie mogę być dłużej poważnym, niż przez 100 wierszy druku...

OBYWATEL. Czy masz pan Boga w sercu?...

(Obaj, wypadłszy z roli, rozptylają się w powietrzu).

Wiedzi.

Tadeusz Rittner.



— Niech pani osądzi, jak spędzam dzień! — mówi p. Zapolska do p. Fontany.



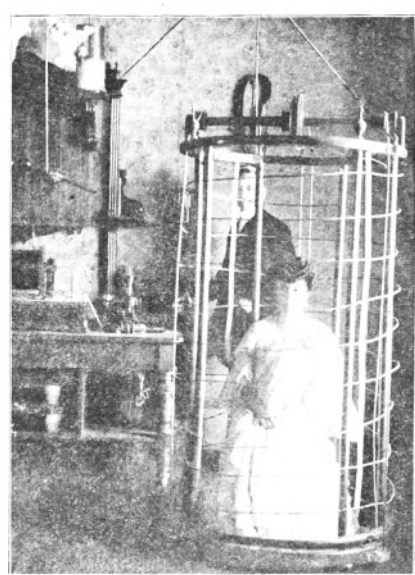
— Proszę pani! Kąpielka gotowa! — woła pilna Róża.



— A teraz do inhalacji! — wzywa panna Stasia, masażystka zakładowa.



— Zobaczymy, ile przybyło!
— Sześćdziesiąt trzy! Ślicznie.



— A teraz do d'Arsonvala, bo już tam czeka radca Ebers. Dokola niego gromy i pioruny!

U Zapolskiej — na Lido.

Na statku, jadącym z Wenecji do Lido, ożywienie i wesołe rozmowy. Tam, na wybrzeżu Lido, w zakładzie doktora Ebersa, ma się odbyć przedstawienie amatorskie, na które nas uprzejmie zaproszono.

Dojeżdżamy, — wchodzimy do rzęście oświetlonego budynku; w przedsieniu, zdobnej kwiatami, pełno służby; obok nas przesuwają się na sali strojne panie, uśmiechnięte twarzyczki panienek, panowie we frakach. Nic nie robi wrażenia, że ludzie tu szukają ulgi w cierpieniach. Ślicznie urządzona scena improwizowana, a publicz-

ność, goszcząca w zakładzie, zajęła już miejsca.

Oczekiwanie jest wielkie. Po bardzo zgręcznie odegranej farsie „Château Yquem” ma się ukazać gwiazda polskiej literatury, Gabriela Zapolska.

Wybrała do popisu scenicznego „Karys” Musset’a. I wiedziała, dlaczego wybrała; — przednio wyczelowane każde słowo, każdy ruch, każdy uśmiech, — wszystko jest małym, misternym arcydziełem w jej odtworzeniu scenicznym.

Cisza zapanowała w poprzódni tak ruchliwej salce, na krótką chwilę wszyscy byli pod urokiem niezwykle czarodziejki. Wreszcie czar rozprysł się w hataśliwe oklaski, polacy krzyczeli „brawo!”, a włosi, obecni na przedstawieniu „evviva! evviva!” Przypominało mi się, co o jej grze w Paryżu napisał Sarcey po „Małym Eyolfie” Ibsena: „c’est la Pologne, Madame!”.

To samo byliby chętnie zawołali wszyscy zaproszeni cudzoziemcy. Pani Zapolska

uprzejmie dziękowała z poza wielkich kwiatów liliowych złocieni, jakimi ją wdzięcznie obdarzono, i powoli, zmęczona zapewne, gdyż naturalnie ona to zajęła się urządzeniem całego tak świetnie udanego przedstawienia, otrzymawszy z rąk pan, biorących udział w przedstawieniu, przepyszny wachlarz ze starych weneckich koronek, ozdobiony mnóstwem złotych monogramów, nieznacznie usunęła się do swoich pokoi.

Publiczność przeszła do wielkiej sali, gdzie teraz rozpoczęły się tańce. Ja byłam ciągle pod urokiem Zapolskiej — i gorąco zapragnęłam zbliżyć się do niej. W tym celu na drugi dzień rano wybrałam się znowu na Lido.

Zastałam ją na werandzie; leżała w białym koronkowym peniuarze, wielkie oczy wpatrzone w szafir nieba, za nią laguny, Wenecja. Witam ją.

— Co za niebo!

Patrzymy obie z zachwytem.

*) Pani Stefania Fontana, polka, zamieszkująca w Wenecji, wykwintna znawczyni i krytyk literatury europejskiej, współpracowniczka wielu dzienników włoskich i tłumaczka dzieł polskich na język włoski, nadesłała nam uprzejmie następujący interwju, który niewątpliwie obudzi zajęcie wśród naszych czytelników.



Za niespóźnienie się dostają pozwolenie popłynięcia do Wenecji łodzią zakładową — z warunkiem, aby wrócić na franklinizację.

— Tylko tu takie cudne! — mówi Zapolska.

Siadam obok niej.

— Kocha pani Lido? —

— Uwielbiam Wenecję i Lido. Lat temu siedm napisałam przecież: „Jak tęcza”. Gdy pisałam tę powieść, drżałam cała, dyszałam wspomnieniem Lido i Wenecji, — i od tej pory jeżdżę tu jaknajczęściej. Nie chcę innych miast Europy. Dla mnie tylko Wenecja. Chciałabym tu umrzeć — i żeby mnie pochowano na placu Św. Marka, pod płaskim kamieniem. Niech nade mną gra muzyka wieczorami, a weneccyanki — te blade, w długich czarnych szalach, chodzą, szeleszcząc wachlarzami i stukając obcasikami. Będę spać śniąc — i pięknie śniąc.

— Zanim pani się pochowa, pomówmy o pani zdrowiu.

— Lepiej, lepiej, — powoli, ale stanowczo lepiej. Jakaż różnica od przeszłego roku, prawda? Pamięta pani? Błada byłam, smutna; to doktor Ebers sprawił swą wiedzę, opieką — i Lido.

Uśmiechnęła się smutnie.

— Cierpieć prawie lżej. —

— Nie znać na pani cierpienia.

— Bo się nie daję. Walczę. I mam tę pociechę, że — zmogę. Błada zwyciężonym. A potem — jeszcze mam tyle, tyle przed sobą...

Przysunęłam się z całą ciekawością.

— Co, co nam pani da znów pięknego? Po *Córce Tuski*, po *Ich czworogu*, po *Dulskiej* czekamy...

Oczy wielkie Zapolskiej pobiegły daleko w horyzont.

— Chciałabym... tak... chciałabym wiele! — mówiła: — chciałabym napisać coś bardziej skończoności, doskonałego nad to, co zrobiłam do tej chwili. Gdy byłam między życiem a śmiercią — niedawno — cierpiałam najwięcej nad tem, że dzieło moje takie marne, takie — żadne, nie takie, jakimby je mieć pragnęła. I pragnęłam żyć, ażeby jeszcze coś stworzyć. Dlatego teraz się leczę tak pilnie.

Energia i silna wola zabłyśły w oczach Zapolskiej.

— Mnie się zdaje, że siłą, wypromienioną z siebie, nie tylko chorobę, ale i śmierć odpędzić można.

Po chwili dodała z melancholijnym uśmiechem.

— Chyba że już przyszedł czas!

I siłą woli znów melancholię z czoła spędziła, rozjaśniły się jej wielkie oczy.

— Pracuję. Już zaczęłam pisać powieść i sztukę. Powieść, którą wydam tylko w książce. Nie umieszczę jej w żadnym piśmie.

— Dlaczego?

— Bo chcę mieć swobodę tematu i techniki. Pisząc do pism, liczyć się muszę. Książkę tylko czyta ten, kto ją chce czytać i sam z nią pozostać. Pismo czytają



„Cierpliwości!” — mówi radca: — „niedługo napiszemy drugą *Dulską*!”

wszyscy. Raz chcę mieć zbytek pisania książki.

— Niech Pani pisze, jak chce, — tylko... kiedy Pani pisze? przy tej całodziennej regule —

— Ja piszę rano — wtedy, kiedy słońce wstaje.

We drzwiach ukazała się barwna postać w wiejski kostium góralski przystrojonej chłopki.

— Czekam na wielmożną panią! — mówi z ukłonem.

Zapolska powstaje szybko i żegna się ze mną pełnym wdzięku ruchem.

— A teraz — idę moczyć się w wodzie! — rzuca na odchodem, — aby wody w moich dziełach nie było. Postaram się z wody morskiej wyciągnąć fluid, moc, siłę i... sól. — *Voilà!*

I znikła.

Lido, w marcu 1908.

Stefania Fontana.



Tryumf kinematografu.

Dyrektorzy niektórych teatrów paryskich, zwłaszcza mniejszych, są poważnie zaniepokojeni. W ciągu ostatnich lat wyrosła im niespodziewanie pod bokiem, jak dziś, poważna już dość nawet konkurencja w postaci teatrzyków kinematograficznych. Bo nie tylko Warszawa jest miastem kinematografów. Paryż jest niem również. Nie dość, że przedstawienia kinematograficzne weszły już, jako stała część składowa do tinglów, cyrków, *variétés*



A o dziewiętej, o ile niema koncertu, teatru lub próby, — do windy i spać, — obmyślając nową sztukę dla Warszawy.

i teatrów ludowych, — pozatem, jak grzyby po deszczu, rosną specjalne kinematy, odciągając coraz większą liczbę publiczności od kas teatrów prawdziwych.

Towarzystwo francuskich autorów dramatycznych zwróciło niedawno na ten objaw uwagę. Bo ostatecznie tryumf kinematografu w równej mierze zagrażał interesom dyrektorów, a raczej przedsiębiorców teatralnych, jak i pisarzy. Okazało się jednak, że z kinematografem walczyć niepodobna. „Któż zdoła wstrzymać strumień w biegu?” Pisarze francuscy zażegnali jednak w inny sposób grożące im niebezpieczeństwo.

W sposób bardzo prosty.

Skoro przyszłość ma należeć do kinematografu, należy pisywać dla kinematografu.

Alfred Capus, ulubieniec teatrów bulwarowych i publiczności paryskiej, daje dobry przykład. Przeznacza największy swój utwór dla teatrzyków kinematograficznych. Ma to być szereg scen z życia paryskiego. Pozatem przyrzekli kinematografom swoje współpracownictwo wszyscy wybitniejsi autorzy dramatyczni francuscy. Rostand również już podobno pisze sztukę dla kinematografu.

Sam rodzaj nie jest zresztą nowy. W ten sposób od dawien dawna układają się teksty dla baletów i pantomin. Zmienia się więc tylko zgodnie z postępem czasu sposób wykonania. Aktorzy zamiast odtworzać taką sztukę przed publicznością co wieczoru, będą ją odtwarzali raz przed aparatem fotograficznym.

Można się przy tym systemie dopatrzeć nawet poważnych korzyści. Raz na zawsze uniknie się niebezpieczeństwa odwoływania przedstawienia z powodu „naglej niedyspozycji”, kaprysu — czy, wyobraźwszy sobie, że

rzecz dzieje się w Polsce,—zatargu o niezapłaconą gażę.

Capus — jak dzienniki donoszą — będzie miał obsadę świetną. Najpierwszorzędniejsze piękności i siły teatrów paryskich staną, a raczej poczną się ruszać przed aparatem, aby odtworzyć rolę.

* *

Czy jednak przyszłość należy do kinematografów?

Zdaniem pisarza francuskiego, Remy de Gourmonta, — tak. Czytałem w swoim czasie w „Mercure de France” jego artykuł w tej sprawie, w którym przepowiadał fotografii ruchomej takie same tryumfy, jakie dziś już święci fotografia stała. Ta ostatnia zabiła niemal zupełnie sztukę rytowniczą, w dziale ilustracji wypiera coraz bardziej z łamów pism i książek rysunek.

Otóż przy pewnych, nieznacznych nawet udoskonaleniach, kinematograf może zabić zupełnie tę całą kategorię widowisk teatralnych, która się opiera na efektach optycznych.

Przypuszczenie Remy de Gourmonta jest prawdopodobne zupełnie. Najwspanialsze, najkosztowniejsze dekoracje nie dadzą nigdy tego złudzenia prawdy, jakie tworzy obraz, rzucony na ekran kinematograficzny. Zwłaszcza, o ile chodzi o pejzaż. Odtwarzanie krajobrazów kinematograf doprowadził do wyżyn absolutnej niemal doskonałości. A przy dalszym rozwoju fotografii kolorowej, który pozwoli utrwać na kliszy najsubtelniejsze odcienie barw doprowadzi go do doskonałości zupełnej.

Repertuar dzisiejszych kinematów można podzielić na dwa zasadnicze działy. Pierwszy—to mechaniczne odtwarzanie rzeczy istniejących, a więc widoków przyrody, miast, scen z życia, a przedewszystkiem aktualnych wydarzeń chwili bieżącej. Pod tym względem kinematograf spełnia rolę—jakby ilustrowanego dziennikarstwa.

W tydzień po pogrzebie króla Carlosa mogłem już pogrzeb jego oglądać w jednym z teatrzyków na Wielkich Bulwarach. I nawiasem mówiąc, żywy ten obraz bardziej, niż wszystkie artykuły i telegramy, przekonał mię, że ludność Lizbony nie była zbyt przejęta tragicznym zgonem władcy, który po to przez całe życie podtrzymywał wesołą reputację portugalczyków, aby śmiercią stwierdzić, że nie zawsze bywają weseli.

Obrazy tej kategorii są bardzo ciekawe i pouczające, ale nie mają nic wspólnego ze sztuką.

Obok nich jednak istnieje i rozwija się repertuar, sięgający już wyżyn prawdziwej sztuki. To dawny teatr mimiczny, który, jak sądzę, z czasem przeniesie się zupełnie do kinematów. Posiadają one po temu jedną zaletę nietylkaną, mianowicie, możliwość tak szybkiej zmiany obrazów, o jakiej żaden teatr o dekoracjach stałych marzyć nie może. W wielu razach przytem ten wzgląd właśnie, że plastykę ciał ludzkich, czy też nawet figur (jak w teatrach marionetek) zastąpią cienie, rzucone na ekran, przyczyni się do uwydatnienia nastroju

sztuki. Wszystkie dramaty Maeterlincka, pisywane dla teatrów marionetek np., odpowiednie ramy znajdą dopiero w kinematetrze.

Ale przedewszystkiem podstawą repertuaru jego będzie bajka. Dzięki technice pewnego rodzaju, polegającej na specjalnej kombinacji klisz, kinematograf może tworzyć postaci i sceny najzupełniej fantastyczne. Wyobraźmy sobie choćby człowieka bez głowy. Rzecz niemożliwa prawie do osiągnięcia na scenie teatru plastycznego,—w kinematografie przy pomocy odpowiedniego retuszu bardzo prosta. I patrząc na ekran, uwierzmy, że taki człowiek istnieje.

Urok bajki na tem polega, aby w nią uwierzyć, aby fantastyczne nieprawdziwe obrazy mieć przed oczyma. Gdy się bajkę czyta lub jej słucha, wyobraźnia musi pracować nad tworzeniem tego całego zmyślonego świata, do skąpego tekstu literackiego musi dorabiać dopiero to, co stanowi właściwą „bajkę”. W kinematografie stosunek się zmienia. Tam mam przed oczyma obrazy, a tekst sam się snuje za nimi. Odpowiednia ilustracja muzyczna może jeszcze wysubtelnić rozkosz, pozwalając nie formułować myśli, zamieniać je uczuciami.

* *

Kinema-teatry mają zatem świetną przyszłość przed sobą. I bardzo różnorodną. Mogą dostarczać zarówno najpodnioślejszych wrażeń artystycznych, jak i sycić codzienną ciekawość czytelników pism.

Jako teatry, zyskują obecnie znaczną siłę przyciągającą w postaci znanych nazwisk. Repertuar ich dotychczas bywał już nieraz bardzo ciekawy, nieraz owiany tchnieniem poezji, lecz zawsze bezimienny. Widz siedł, nie troszcząc się o to, kto obraz ułożył i kto do wykonania pozował.

Teraz będzie się szło na sztukę Rostanda, w której główną rolę wykona Sarah Bernhardt.

Czy dla sztuki dramatycznej w dzisiejszym pojęciu reforma ta będzie niebezpieczną?

Nie sądzę. Może raczej wyjść jej z czasem na dobre, oczyszczając ją z przewagi efektów i pomysłów dekoracyjnych, pod którymi już dziś niejednokrotnie ginie treść.

Istnieją przecież sztuki, większość t. zw. „revue”, a nawet i niejedną poważną mógłbym wymienić, w których dyalog jest tylko niepotrzebnym dodatkiem do tego, na co się patrzy. Utwory tego rodzaju przenoszą się do kinematów. W niektórych tylko miastach (nie chcę ich wymieniać) podział byłby trudny. Bo jeśli w teatrach tam niema czego słuchać, to i patrzeć niema również na co.

Po zatem sądzę, że w Warszawie kinematografy przyczynią się niesłychanie do uproszczenia stosunków.

Znam dyrektora, który starannie przechowywuje parę dziurawych butów i co pierwszego ostentacyjnie wkłada je na nogi. Gdy aktorzy przychodzą po gażę, w milczeniu wskazuje im dziury.

Znam znakomitego artystę, który w swoim czasie podał się do dymisji, ponieważ dyrektor trupy sprawił sobie nowy cylinder. A on nie mógł znieść takiego cynizmu.

Otóż, gdy aktora zamieni cień, konflikty tego rodzaju przejdą do wspomnień.

A autorzy dramatyczni? Ci nie w żadnym razie nie tracą. Możemy więc spokojnie przyglądać się tryumfom kinematografów.

Paryż,

W. Perzyński.



Notatki literackie.

Aleksander Kraushar. *Miscelanea historyczne: XVII i XVIII*. Sumienny badacz przeszłości przysporzył dwiema cennymi broszurami materiałów do historii 31 roku. Jedną z nich, odsłaniającą źródłowo epizod pochodu W. ks. Konstantego i jego małżonki przez część województwa lubelskiego i podejmowania go przez obywatelstwo tameczne, — wbrew dotychczasowej historycznej relacji Wolińskiego, druga, — wyświetlająca ciekawą kartę historyczną zamachu na dyktatora Chłopskiego i krótkotrwałego aresztu Lelewela, Ostrowskiego i Bronikowskiego, podług aktów oryginalnych Rady Najwyższej Narodowej 31 r. Obie broszury poza wartością historyczną świecą jasnym i przejrzystym stylem wytrawnego pisarza.

Nowe dzieje statyki według badań Duhem'a przez Feliksa Kucharzewskiego. Nowa broszura czynnego autora wielu dzieł z zakresu techniki, streszczająca badania Duhem'a w dziele statyki, odsłaniająca między innymi zasługę Leonarda Vinci w dziejach rozwoju statyki od Arystotelesa do Kartezjusza i wprowadzająca doniosłe wnioski ogólne: 1) ciągłości wiedzy w łańcuchu, gdzie ogniwa często niedostrzegalne: zkad mniemana rewolucja naukowa jest tylko powolną ewolucją, a t. zw. odrodzenia — reakcja, 2) poszanowania tradycji, jako zasadniczego warunku naukowego postępu.

Iza Moszczeńska. *Pogadanki moralne. Warszawa. J. Lisowskiego, 1908*. Autorka twierdzi, że dotychczasowa nauka moralności była całkiem bezpodatna, nie określała bowiem jasno wartości moralnych, nie uświadamiała co do wyboru czynu. Tworzy tedy próbę nowej metody, oświecenia w pogadankach naczelnych zasad moralności, do użytku nauczycieli i nauczycielek. Autorka w zapędzie kobiecym uświadamiania zdaje się zapominać, że kultura uczuć jest zasadniczo łożyskiem i punktem wyjścia dla wszelkiej myśli świadomej—moralnej. Poza tem — rzecz literacko dodatnia.

Marya Płażkówna. *Obudzeni. Stanisławów. 1907*. Kilka nowel i kilka udramatyzowanych obrazków, będących wyrazem zawiedzionej miłości, tęsknoty nowej miłości, wyrzutów żony z powodu zdrady męża, uznania władzy mężczyzny i t. d., wszystko — nie pozbawione wdzięku szczerości, choć nie wznoszące się dostatecznie do miary sztuki obiektywnej.

Marcin Tułacz. *Filozofia włości. I. II*. Autor w ulotnych rozprawkach (O szanowaniu cudzych przekonań; gdzie jest prawda; myśl o ojczyźnie i t. d.) cytuje często Nordau'a, którego jest szczególnie zwolennikiem, tudzież — Lubowskiego i Dygańskiego. Cel — obudzenie dyskusji. Krótkie rozprawy nie pozbawione zakresu literackich.

Józ. Jank.



Zapaśnictwo.

Warszawa żywo interesuje się atletycznymi zapaśnikami: nie od rzeczy może będzie trochę uwag o kunszcie zapaśniczym, który dziś coraz więcej budzi zainteresowanie w szerokich kręgach sportowych.

Zapaśnictwo kwitnęło najwspanialej w starożytnej Grecji i sami nawet królowie nie wstydzi się walczyć, czego przykład mamy u Homera, gdzie na uroczystościach pogrzebowych, wyprawionych przez Achillesa Patroklesowi, król Itaki, Odysseus, i król Salamin, Ajax, zmagają się o nagrody na arenie.

Najsławniejszym atletą starożytnym był Milo z Krotony, który byka nosił po arenie i byka zjadł. Zabił mnóstwo dzikich zwierząt nogami, nim go uwieszonego pożarły.

Dla Rzymian prosta walka siły i zęčnosti była za małą; gladyatorowie rzymscy walczyli bronią na śmierć i życie.

Wiek średni znał silaczów bacznych, ale zapaśców, jako sportu, nie znał; dopiero w drugiej połowie XIX wieku rozpoczynają one po długim uspiewaniu odżywać — i to we Francji i w Niemczech prawie równocześnie. Wywołuje je rozkwit gimnastyki.

Od czasu do czasu pojawiają się na arenach cyrkowych obok atletów, dźwigających ciężary, także zapaśnicy, którzy wyzywają do walki publiczność. Wkrótce poczynają walczyć między sobą zawodowcy, walka wykształca się we Francji, otrzymuje kodeks i jest reprezentowaną głównie przez południowców, ludzi „à doubles muscles”. Otrzymuje zaś nazwę walki grecko-rzymskiej zupełnie niesłusznie, jest bowiem istotnie „walką francuską na płaską rękę”.

W miarę rozwoju rozpoczynają się konkursy, zawodnictwa o mistrzostwa i mistrzostwa światowe (*champion du monde*).

Pojawiają się potęgi w swoim rodzaju, jak Niemcy, Abs, Foss, turek Yussuf, potem cały szereg znakomitości, jak: turek, Nurlah i Kara Achmet, francuzi: Paweł Pons, Beaucairois, Niemcy: Jakób Koch, Henryk Eberle, Müller (inaczej zwany Abs II, albo John Pohl) z Hamburga, nasz pan Władysław Pytlasiński, tworzą się szkoły, „akademie zapaśnicze”, Pons, Koch i Pytlasiński, mistrze światowi, dzierżą prym, aż póki nie zdystansuje ich wszystkich młody

Estonczyk, Jerzy Hackenschmidt, syn urzędnika z Rygi.

Temu młodemu chłopcu doktor Krajewski, polak, obmacuje w sali gimnastycznej ramiona, zachęca do treningu i przepowiada, że będzie najsilniejszym człowiekiem na ziemi. Hackenschmidt zaczyna się ćwiczyć i mniej więcej przed ósmiu czy dziewięciu laty występuje jako zawodowiec (obecnie ma około 29 lat). Zwraca na siebie uwagę, pokonując w zupełnie rozpaczliwy sposób, bez żadnego jeszcze wyrobienia, barbarzyńskiego tragarza konstantynopolitańskiego, straszno Karę Achmeta, (tego, który złamał nos p. Pytlasińskiemu w Budapeszcie) poczem wali kolejno Eberlega, Ponsa, Kocha, Absa II, Pedersena i jest pokonany tylko przez Laurent le Beaucairois w Paryżu, którego zresztą sam również kładzie i którego zwycięstwo nad Hackenschmidtem uważać należy za czysty przypadek. Znaczący twierdzą, że stanowi „klasę sam dla siebie”, (*cine classe fur sich*), podobnie jak nigdy nie pokonany bokser amerykański, Jim Jeffries. Syt sławy na kontynencie, jedzie do Anglii, gdzie zarabia obecnie rocznie przeszło sześćdziesiąt tysięcy rubli! Jednak, zdobywszy sobie tytuł pierwszego zapaśnika świata, nie ryzykuje. Odmawia ponownego spotkania swemu ex-przyjacielowi, Jakubowi Kochowi, który sam tylko ze swej strony składa 5000 marek; nie przyjmuje wyzwania Aberg, który z tem pojechał do Londynu; z ogromną niechęcią godzi się na walkę ze Strengem, którego wywraca, ale w 30 minutach nie pokonywa, i kompromituje się strasznie, wycofując się poprostu z areny, gdy przeciw niemu niespodzianie z pośród publiczności londyńskiej wystąpił słynny w Londynie nauczyciel dziu-dziłtsu, japończyk Tarro Myaki. Od lat czterech ze znakomitszych przeciwników walczył Hackenschmidt tylko ze szkotem Munro i dwukrotnie z turekiem Madralim, których obu położył zresztą bardzo łatwo, a Madralego za ostatnim razem w niecałych sześciu minutach dwa razy z rzędu. Obecnie, jak zapowiadają pisma sportowe, Hackenschmidt ma być niezrównanym już bokserem, chce się zupełnie temu poświęcić i ma wyzwąć wszystkich najlepszych bokserów świata, nie wyjmując Jeffriesa.

Obok niego najznakomitszych atletów wydała Francja (Pons, zmarły przed paru tygodniami Raul le Boucher, Beaucairois, Aimable de la Calmette, Apollon etc., Dania (Pedersen). Niemcy w ostatnich latach (do najpierwszych liczy się syn obywatela ziemskiego, oficer, pod pseudonimem Siegfried), Rosja, mająca cały zastęp pierwszorzędných sław, na których czele stoi mistrz światowy, rywal p. Cyganiewicza, kozak Iwan Poddubny; prócz tego Aberg, Lurich, Chemjakin, Romanoff etc. Węgry mają Czaję, Holandya Van der Berga, Turcja Nourah, Belgia Omera de Bouillon, Włochy Ruggiera (z zawodu inżynier), Anglia niema żadnego znakomitego zapaśnika, Serbia olbrzyma Antonicza, Bułgaria Petrowa (znanego w Warszawie), Polska, mając cały już szereg zawodowców: Bienkowskiego, Ursusa-Jankowskiego, Popławskiego,

Zarembe, Kornackiego, dwie ma tylko pierwszorzędną „gwiazdę”, dwóch mistrzów światowych, pp. Pytlasińskiego i Cyganiewicza. P. Pytlasiński zdobył sobie imię pobiciem Absa w Paryżu na pasy. Pokonywał on zresztą wszystkich najlepszych przeciwników i sam zdaje się do walk wiedeńskich przed sześciu laty nigdy pobitym nie był.

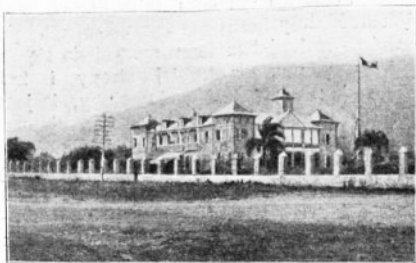
Cyganiewicz, zwany w Niemczech „der polnische Ueberherkules”, ze swoim ramieniem 52 cm. grubym, jest bajecznym „okazem” atlety, najpierwszorzędniejszym z pierwszorzędných. Mylną jest jednak opinia, jakoby nigdy pobijanym nie był. Ze był najsilniejszym, oprócz może Poddubnego, z tych, z którymi się potykał, bardzo jest prawdopodobne, ale tamci są zęczniejsi i mają więcej doświadczenia i wprawę. Taki więc mistrz świata i najlepszy zapaśnik Niemiec, Koch, walczył z nim zwycięsko (Hamburg, Praga); pobijany przezeń, pobijał go również Abs II; ważył się w szansach z Lurichem, z Abergiem i Beaucairois. Podobnie tryumfalnego wejścia na arenę, jak Hackenschmidt, nie miał żaden z atletów. W każdym razie jednak p. Cyganiewicz ma szansę ubiegać się również o przydomek „klasy dla siebie”, gdy jego ciężar (120 kilo) jeszcze się więcej „wyzreczni”.

Silaczem też nad silacze jest wspomniany już japończyk, Tarro Myaki. Ów w hipodromie Bostocka w Paryżu ofiarowywał 25.000 franków temu, kto go położy, a gdy porwał się na jakiś 120 kilo z górą ważący rzeźnik, z miłym wyrazem twarzy przez dłuższy czas demonstrował na nim, ilu sposobami można człowieka przewrócić, poczem grzmotnął rzeźnika ostatecznie na ziemię. Zawodowców kładł również jednego po drugim. Ale sam nie jest zbyt duży i waży tylko około 90 kilo. Jak jest „wyszkolony”, dowodzi, że może do 7 minut wisieć na stryczku, muskulami szyi nie dopuszczając do zaduszenia.

Na koniec kwestya „szalbierstw”. Że bywają czasami układy wzajemne, to pewna. Przykładem choćby to, że w Palermo, gdzie jest totalizator, bardzo obstawiony. Poddubny dał się pobić prawie wcale nie obstawionemu turekowi Pengalowi. Ci jednak ze znakomitych zapaśników, którzy uchodzą za najsilniejszych, są najsilniejsi, gdy bowiem rozpoczynali karierę, nikt nie był taki głupi, aby się im dał pokonywać dla ich pięknych oczu. Każdy chciałby mieć jak najwięcej zwycięstw za sobą z tej prostej przyczyny, że w miarę tego jest płatny. Gdyby kiedyś odbył się konkurs, w którym nikt nie brałby udziału, tylko Hackenschmidt, Cyganiewicz, Poddubny, amerykańnik Frank Gotsch, Nurlah, Koch, Aberg, Lurich, Pons, Siegfried, dopiero mogło by się pokazać, który z tych atletów jest obecnie pierwszym. Zdaje mi się jednak, że Hackenschmidt będzie wolał już do końca nie ryzykować swego tytułu szampiona szampionów i „geniusza zapaśów”, jak go nazywają.

Slav.





Gmach parlamentu w Port-au-Prince.

Rewolucja na Haïti.

Na San Domingo, które posiada osobną, równie krwawą, jak i czarną kartę w dziejach legionów polskich, wybuchnął zatarg, mogący się dla republiki murzyńskiej skończyć nie do brze. W kraiku tym zaniósł się na rodzaj rewolucji, co w gorących strefach nie ma tyle znaczenia, ile w umiarkowanych; że jednak zwycięzcy są wszędzie jednakowi, przeto i tam postanowili oni dać „nauczkę” stosowną swoim przeciwnikom. Ci schronili się do konsulatów europejskich.

I oto przyczyna zatargu pomiędzy władzami murzyńskimi a państwami cywilizowanymi.

Konsulowie są zresztą w humanitaryzmie swoim — umiarkowani. Nie przyjmują już oni więcej „gości” w mury budynków swoich. Pragną tylko, aby wolno było gościom obecnym opuścić kraj.



Generał Nord Alexis.

Na co generał Nord Alexis nie chce się zgodzić.

Ażeby dopiąć celu swego, jakim jest wymordowanie przeciwników politycznych, podburza przeciwko cudzoziemcom ludność.

Haïti, które przed stu laty wydały „murzyńskiego Napoleona”, nie przestały być klasyczną ziemią morderstw i rewolucji. Zmieniają się tam ciągle rządy, zmieniają konstytucje, zmieniają same formy rządów, ale, jak mówi francuskie przysłowie: im więcej się to zmienia, tem bardziej jest to *la même chose*.

Obecnie stanęli naprzeciwko siebie generał Nord Alexis i Antenor Firmin, były poseł rzeczypospolitej w Paryżu. Idzie o prezydenturę. Generał władzę dzierży od 1902 roku; dyplomata radby mu ją wydrzeć. Generał władzę posiadał na drodze rewolucji. Zarzucił on dawnemu prezydentowi „przekupstwo i nieumiejętność administracyjną, wywołującą drożyznę”. Dyplomata idzie ściśle tą samą ścieżką. Te same zarzuty i ten sam oręż walki.

Firmin w styczniu r. b. zorganizował powstanie i zajął kilka ważniejszych miejscowości, jak Port de Paix-Saint Man i Gonnaïves. Ale wojska rządowe wkrótce pobili powstańców. Dowódca wojsk powstańczych, Jumeau, został rozstrzelany. Przezorny Firmin, nie czekając na koniec bitwy, schronił się w konsulacie francuskim.

Alexis zażądał wydania go. Wtedy to minister murzyńskich spraw zagranicznych stanął po stronie — mocarstw. Ale Alexis natychmiast go zmienił, a nowy minister, Borno, zmienił zaraz politykę zagraniczną państwa. Złapano też kilkudziesięciu stronników Firmina i zaraz ich rozstrzelano. Firmin nie może wątpić o swoim losie, gdyby go wydano w ręce jen. Alexisa.

Sprawa się więc zaogniła.

Anglia i Francja dla obrony swych konsulatów i swoich obywateli wysłały okręty wojenne do Port-au-Prince. A w te pędy uczyniła to i żaba, nadstawiająca łapę tam, gdzie konia kuja: Niemcy.

Ponieważ na Haïti kat i ofiara, rządowcy i spiskowcy są równie mało ciekawi, rządy angielski i francuski widzą w opuszczeniu wyspy przez spiskowców jedyny sposób uspokojenia kraju. Inaczej jedni drugich mordowaliby bez końca i litości.

Jest taka polityka sprzeczna, co

prawda, z zasadą międzynarodową „nieinterwencji”. Ale niema nic niemoralniejszego nad tę zasadę, dzięki której jedne narody patrzą spokojnie na zbrodnie innych narodów. I praktycznie w Turcji ta zasada oddawna została naruszona przez wszystkich wielkie państwa



Generał Antenor Firmin.

Europy. Tem łatwiej przyjdzie państwu zrobić raz porządek jakiś w Haïti, tak szczęśliwie przez naturę uposażonym, a tak fatalnie przez ludzi eksploatowanym.

Z tego powodu położenie spraw na Haïti, i obrót, jaki te sprawy wezmą, powinno budzić szczerze zainteresowanie tych, którzy na polityczne nieprawości dyplomacyi nie mogli patrzeć spokojnem okiem.

wk.



Olbzynie palmy kokosowe w okolicy Port-au-Prince.

Prasa berlińska ma swój honor.

Utarło się mniemanie, iż prasa jest szóstym mocarstwem. Zdanie to podziela wiele wysoko postawionych osób w Niemczech, o ile chodzi o prasę zagraniczną. Cesarz Wilhelm chętnie i łaskawie udziela audyencji dziennikarzom francuskim, amerykańskim i angielskim; dla dziennikarzy niemieckich żywi niewysłowioną pogardę. Przykład monarchy oddziaływa zaraźliwie na t. zw. sfery miarodajne. Dygnitarz



Posel Groeber.

pruski, cywilny czy wojskowy, uważa dziennikarza berlińskiego za „podczłowieka” nader lichego gatunku. Trzeba się z nim liczyć, jak z psem, który może chyłkiem ukąsić. Lecz gdy zdarzy się sposobność, jakże przyjemnie jest okazać pismakowi swą wyższość i siłę!

To też tylko w parlamencie Rzeszy Niemieckiej mógł się wydarzyć podobny wypadek, jaki zaszedł przed dwoma tygodniami między posłem centrowym Groeberem a trybuną dziennikarską. Przedstawiciel narodu, usłyszawszy ironiczny śmiech w łozы sprawozdawców, nazwał ich „świnutuchami”. Epitet ten wydał się reprezentantom prasy ubliżającym. Postanowili bojkotować Sejm Rzeszy, dopóki Groeber nie da zadośćuczynienia. I nagle politycy niemieccy przekonali się, jaką jest władza poniewieranych dziennikarzy. Próżno zdzierali głos na mównicy. Ich popisy oratorskie nie wychodziły po za mury gmachu. Naród niemiecki i zagraniczanie o nich nie wiedzieli. Ks. Bülow, nie lubiący przemawiać bez echa, ujrzał się zmuszonym odrzucić wielką mowę polityczną aż do załagodzenia zatargu. Dawni posłowie i ministrowie spostrzegli, że bez pomocy dziennikarzy znaczyliby nie wiele. I gburny p. Groeber musiał ukorzyć się przed zsolidaryzowanymi „pismakami”.

Bart.

Kazimierz Marcin Sosnowski, inżynier, świeżo obdarzony, jak zwiastuje paryski *Journal officiel* z dnia 12 marca, orderem legii honorowej za zasługi naukowe, urodził się w listopadzie 1858 r. w Wicencie, powiatu Kolneńskiego gub. Łomżyńskiej.



K. M. Sosnowski.

Po ukończeniu instytutu technologicznego w Petersburgu zamieszkał w Warszawie, oddając się pracy pedagogicznej. W roku 1882 zmuszony wyjechać z kraju, osiadł w Paryżu, gdzie i obecnie przebywa, jako przedstawiciel i dyrektor *Société Laval*. Napisał pierwszy podręcznik o turbinach pod tytułem: *Turbines et roues à vapeur*. Na ostatniej wystawie w New-Yorku był delegowany jako *membre de jury*.

Następstwo tronu w Holandyi.

Małżeństwo królowej Wilhelminy holenderskiej zostało bezdzietnem. Ks. Albert Meklemburski nie ziszczył tych nadziei, jakie pokładał w nim naród holenderski, ofiarując mu rękę swej królowej. Siedm lat lat z górą minęło od dnia ślubu, bociany omijają stale zamek królewski w Hadze. Przechodzą niderlandczycy, nie licząc już na dobre chęci księcia małżonka, oglądają się za kandydatem do następstwa tronu. W ostatnich dniach doniosły, iż kandy-



Księża i księżna Wied.

datem tym ma być ks. Wied. W ten sposób, na wypadek zgonu panującej królowej, Holandia byłaby zabezpieczoną od sporów i zatargów o prawa do tronu.



Miss Elkins.



Ks. Abruzzow.

Małżeństwo ks. Abruzzów.

Telegraf rozniósł sensacyjną wieść: ks. Abruzzów, kuzyn króla włoskiego, poślubi-

milionerkę amerykańską, miss Elkins. Wiadomość dotychczas nie sprawdzona, bo podobno małżeństwu temu sprzeciwia się rodzina panny, a z drugiej strony i król włoski niezbyt jest zadowolony, iż jego bliski krewny wstępuje w ślady zrujnowanych arystokratów europejskich. Wiktor Emanuel II miał zdobyć się nawet na piękny gest. — Nie będę miał nic przeciw temu małżeństwu, — miał oświadczyć krewnemu, — jeśli zrzekniesz się... posagu. Ks. Abruzzów jest dość bogatym, by mógł się ożenić z miłośnicą!.. Czy jednak zechce się wyzwać milionów?

Towarzystwo miłośników przyrody.

Z celem budzenia zamiłowania do przyrody zawiązało się w Warszawie Towarzystwo Miłośników Przyrody. Pragnie ono wprowadzić piękną przyrodę do mieszkań, rozwinąć w mieście parki, zwierzyńce, upiększyć wieś, zetknąć ludzi z wolną przyrodą, dać jej poznanie i odczucie. Towarzystwo rozpoczyna działalność wystawą roślin, akwariów i zielników.

Tymczasowe biuro Towarzystwa: w Tow. Ogrodniczym przy ulicy Bagatela. Członek czynny opłaca 3 rub. składki rocznej, popierający składa jednorazowo najmniej 100 r.

Ofiary.

Staś Bielski, uczeń 2-ej klasy szkoły Grochowskiego, sierota, bez środków, prosi za pośrednictwem redakcji „Świata” o taskę składki na opłatę wpisu szkolnego.

Stowarzyszenie współdzielcze Kuchni higienicznej



Rozwożenie obiadów.

Użyteczna ta instytucja od trzech miesięcy istnieje w Warszawie i rozwija się dobrze. Korzystają z usług „Kuchni” zarówno pojedyncze osoby, jak i całe rodziny. Oszczędza im to wydatku na węgiel i służącą, a izba kuchenna przy tym trybie może być zamieniona na pokój dziecienny, pokój szkolny, garderobę i t. d., co zmniejsza znacznie ciasnotę mieszkania. Obiady smaczne i bez przenośni — na świeżem maśle rozwieją się do domów rowerem, na którym stoi ogrzana termoformowymi płytami skrzynka, mieszcząca 6 menażek. W dzielnicach dalszych, gdzie wskutek złego bruku rower jeździć nie może, skrzynię termoformową stawia się na zwykłą dorożkę, którą w przyszłości ma zastąpić mały automobil.

Z usług „Kuchni” mogą korzystać tylko członkowie stowarzyszenia, którzy opłacili 1 rs. wpisu i 5 rs. udział, rodziny wykupują 2, 3 i więcej udziałów, stosownie do ilości branych obiadów. Dla wygody członków wydają się obiady na pojedyncze porcje, co pozwala uwzględnić specjalne gusta wszystkich członków rodziny. Kuchnia mieści się na Brackiej № 18.

M. St. K.



Wydawanie obiadów.



Po nabożeństwie w kościele N. Maryi Panny na Nowem Mieście procesja łączy się na plac Krasińskich.



Ks. Skarzyński poświęca pierwsze wozy elektryczne. Na czele pochodu dyr. zarz. tramwajów, p. Spokorny.



Na stacyach tłumy ciekawych oczekują przybycia pierwszych tramwajów elektrycznych.



Konie tramwajowe ze zdziwieniem przypatrują się nowym wozom, które obchodzą się bez ich pomocy.

Tramwaje elektr. w Warszawie.

W ubiegłym tygodniu nastąpiło puszczenie w ruch pierwszych tramwajów elektrycznych w Warszawie. Uroczystość zorganizowana była bardzo pięknie. Wczesnym rankiem odbyło się uroczyste nabożeństwo w kościele N. Maryi Panny przy Nowem Mieście. Potem ze świątyni ruszyła procesja z ks. Skarzyńskim na czele. Setki konduktorów i maszynistów, ze świecami w rękach, utrzymywały wzorowy porządek. Na placu Krasińskich przemówił jedynie ks. Skarzyński, a niebawem ruszyły sprawnie pierwsze wozy do Mokotowa, wywołując sensację wśród przechodniów.

Na początek otwartą została ta jedna linia. W najbliższym wszakże czasie wprowadzono zostanie ruch wozów elektrycznych i na innych liniach. Niecierpliwi warszawianie nie zawsze są w stanie zrozumieć trudności, z jakimi zmuszony jest walczyć Zarząd tramwajów, i p. Spokorny, dyrektor naczelny, musi wysłuchiwać nieustannych nauk moralnych i humorystycznych. Trzeba przecież jednak zrozumieć, iż przedsięwzięcie jest bardzo skom-

plikowane, że wymaga olbrzymiej pracy, ostrożności i doświadczenia. Od rzeczoznawców słyszeliśmy, iż urządzenia tramwajowe w Warszawie będą pierwszorzędne. Wszystkie udoskonalenia techniczne, wynalezione w ostatnich czasach, zostały zastosowane. Nie łatwym zadaniem jest przygotowanie odpowiedniego zastępu maszynistów. Mimo wszelkie przeszkody przed końcem wiosny tramwaje elektryczne przebiegać będą już wszystkie główne ulice Warszawy, przyczyniając się do nadania naszej stolicy zewnętrznych pozorów zachodnio europejskiego miasta.



Z teatru krakowskiego.

(„Meleager”, tragedia St. Wyspiańskiego.
„Zgon Barbary”, fragment dramatyczny
St. Wyspiańskiego).

Dlaczego dopiero dziś? Dlaczego w kilkanaście lat po napisaniu i uka-

zaniu się w książce, gdy autor znikł z pośród żyjących?

Trudno obronić się przynębieniu wobec jeszcze jednego faktu, co oświeciła naszą bezprzykładną lekkomyślność wobec własnej kultury. „Meleager” był jednym z pierwszych utworów Wyspiańskiego. Poeta, któremu to samo jeszcze pokolenie miało wyznaczyć pozgonne miejsce wśród swoich zasłużonych i wielkich, łamał się wtedy z przeciwnościami, a niedostatek nie należał wśród nich do najmniej znaczących. Czem byłoby dla niego wówczas wystawienie tej tragedii?

Widzieliśmy ją teraz po raz pierwszy na scenie. Utwór—zbyt znany dziś, aby o nim pisać w sprawozdawczej notatce. Wystarczy powiedzieć, że w sprawie scenicznego wywierła silne wrażenie, budząc na nowo podziw dla tego niepospolitego twórczego umysłu, co umiał tak nadzwyczajnie wżyć się w ducha i formę greckiej tragedii.



Wykonawcy programu: Wanda Siemaszkowa, Różycki, St. Niewiadomski, Irena Solska (w stroju infantki z „Cyda”), Wolfstal, Irena Bohus-Hellerowa, Szymanowska, Chmieleński.

Wśród grających pani Wysocka najczystsza wydobyla linie i najgórniejszy ton. Całe przedstawienie szło składnie. Gdzie są te trudności, co tyle lat trzymały twórca zdala od sceny, gdy przeżywał się przez nią legion miernot?

I dziś zresztą jedyny teatr krakowski czuł się w obowiązku naprawić krzywdę, nie samemu tylko autorowi wyrządzoną.

Obok „Meleagra” wystawiono fragment z niedokończonego „Zygmunta Augusta”: śmierć Barbary. Zajmującą była tylko inscenizacja podług znanego obrazu Simlera. Pozatem wprowadzenie na scenę tego urywka nie okazało się fortunne.

Kraków.

Ch.

Z teatrów warszawskich.

TEATR MAŁY. „Małżeństwo Kreczyńskiego”, komedia w 3-ach aktach Suchowo-Kobylińska, przekład z rosyjskiego.

Historia sympatycznego szulera i oszusta, który wkrada się do szlacheckiej rodziny moskiewskiej, by zaślubić milionową jedynaczkę. Faktura jest prostoduszna, rysunek postaci naiwny, humor bardzo niewyszukany. „Małżeństwo Kreczyńskiego” liczy coś około 60-u lat i należy do t. zw. klasycznych dzieł ubogiej literatury dramatycznej rosyjskiej. Stylowo wystawiona i grana przez znakomitych artystów, sztuka ta może ściągać w Moskwie lub Petersburgu, na popołudniowe przedstawienia, liczne zastępy młodzieży. Wątpić należy, aby w oprawie teatru Małego mogła zyskać sobie trwalsze powodzenie.

Władysław Bogusławski, który, jako student uniwersytetu, widział przed półwiekiem komedię tę w Moskwie, opowiadał, iż artysta, grający rolę głównego bohatera, robił zeń polaka. Hochstapler Kreczyński wtrącał

nawet polskie słowa. Czy był to niesmaczny figiel kabotyna, czy też wykonana tylko intencja autora, powiedzieć nie umiem.

S. K.

TEATR KWAŚNIEWSKIEGO. „Życie człowieka” Leonidasa Andrejewa, przełożył z ros. A. Gliszczyński.

Sztuka ma należeć do rzędu sztuk t. zw. nastrojowych (uprzedza o tem nawet afisz); niestety, nastroje te chybają przeważnie celu, ani bowiem nie są wsparte jednolicie rzetelnym natchnieniem i wewnętrzną koniecznością utworu, przez co stają się kuglarstwem i świecą szwami roboty umysłowej, — ani wykonaniem (bardzo średniej miary) i środkami technicznymi (nader ubogimi) nie tworzą ułudnej subtelnej powłoki, która by brak owych natchnień na chwilę maskowała. Są tedy owe nastroje przeważnie temi strachami (tym razem są to strachy — nie na lachy), które tylko w duszach niewybrednych lub mało wrażliwych a zadufanych mogą budzić grozę lub kult bogobojny; dla reszty szczerzej przynoszą uczucia znużenia, a często wprost niesmaku. Są te nieprawie nastroje dwojakiego rodzaju: jedne dla obudzenia bezpośredniej grozy, drugie — manekinowo-kołowato-szopkowe — do okazania rzekomej parodii życia i dla celów satyrycznych. Te drugie stają się nie tylko parodią życia, lecz i — samej sztuki. Pomijamy całą filozofię i biozofię autora, wyłączną, anarchiczną, płytko-wzroczną, rozhasaną, ruso-czelną, z wykreślną żądzą i użycia, w której słownictwie niema wyrazów obowiązków i pokora, dla której przekleństwo życia jest jedyną wyrocznią moralną i słowem ostatniem... Tej to filozofii majestat śmierci (a i życia również) ukazuje się przez opary cuchnącej wódki i skroś cienie brzydoty zjadliwej... Sztuka jest, jak orzech z dziurą, na którym autor chce wygrywać melodye wieczności, otrzymuje zaś jedynie przykre, przeciągłe, złośliwe, zaiste, gwizdanie.

Z wykonawców jedynie artystka, grająca rolę żony Człowieka (?) urastała nie jako do miary artystycznej.

J. J.

Jeden z krytyków nazwał dowcipnie teatr Rozmaitości sceną zajeżdzną, na której goszczą wciąż przejezdni artyści. System ten oczywiście fatalnie wpływa na repertuar, który wskutek owych ciągłych „występów” staje się zgola przypadkowym.

Występy pań Palińskiej i Mirskiej tem się różnią od innych tego rodzaju popisów, że obie artystki mają powiększyć zespół naszej pierwszej sceny dramatycznej. P. Marya Palińska do niedawna występowała na deskach teatru Rozmaitości i znana jest naszej publiczności. P. Marya Mirska ukaże się w



Marya Palińska.

przyszłym tygodniu na tej scenie po raz pierwszy. Przed trzema laty należała do składu teatru poznańskiego; szczerzy talent młodzieńczej artystki, przy wyjątkowo pomyślnych warunkach zewnętrznych, opromieniał początek jej kariery rzetelnym powodzeniem. Lecz p. Mirska nagle wyszła



Fot. J. Golez.

Marya Mirska.

za mąż i wystąpiła z teatru. Teraz, po dwóch latach, p. Kazimierzowi Zalewskiemu udało się nakłonić ją do powrotu na scenę. Pierwszy występ pięknej i obiecującej artystki odbędzie się w „Eros i Psyche”.

Kobieta — policyantem.

Rzecz dzieje się oczywiście w Ameryce, — nawet w samym New-Yorku. Jasnawłosa miss objęła obowiązki dozorki policyjnego. Nietylko obowiązki, lecz i strój. Policyant nie może przecież chodzić w spódnicy, która kępuje swobodę ruchów. Energiczna dama nie zawahała się przywdziać spodni; kokieteria niewieścia objawiła się w pończochach, uwydatniających zgrabne łydki. Dla niejednego przestępcy przykra chwila aresztowania będzie oślodzona zawarciem znajomości z takim policyantem...



Z muzyki.

W ubiegłym tygodniu dała wiele o sobie mówić—muzyka rosyjska.

Co prawda, w stylach bardzo... odmiennych.

A więc naprzód—Walcewa.

Czyż doprawdy mam komu objaśnić, kim jest ona?

Najpierwsza *diva* osławionych piosenek cygańskich?

Piękna, jak — najwspanialszy typ kobiecy na pierwszej stronie „Journal amusant”: najszykowniejsza bogini rosyjskiej *szirokiej ziemi*, ta, do której z potokami szampa spływało złoto, miliony...

Dość powiedzieć.

Na hasło reklamy tłumy podążyły do Filharmonii. Do kasy docisnąć się nie było można, bilety natychmiast rozchwytały.

W pierwszych rzędach arystokracja polska i reszta „*beau monde*” stawiały się w komplecie.

Walcewa, cała osnuta luską złotą, z olbrzymim białym *pioropuszem* na głowie, wywoływała szmery zachwytów.

A jednak...

W gruncie—efekt był chybiony.

Do nastrojów, że tak powiem, gabinetowych wielka sala Filharmonii okazała się — za obszerną. Popiersia Bacha, portrety Chopina i Moniuszki, wreszcie złotymi zgłoskami wypisane nazwiska zmarłych kompozytorów polskich zbyt ciężką i krepującą tworzyły atmosferę.

Walcewa i Filharmonia zdobyły pieniądze (ceny były bardzo słone), lecz jedna i druga straciły zachętę na przyszłość.

Na dzień następny naznaczono koncert jednego z najwybitniejszych przedstawicieli młodej muzyki rosyjskiej, Sergiusza Rachmaninowa.

Gwałtu nie było, *beau monde* — słabo reprezentowany, lecz sala mogła poszczycić się publicznością ilościowo, więcej jeszcze—jakościowo.

Rachmaninow przedstawił nam wielką symfonię *c-moll* i okazał się gwiazdą wschodzącą o wartości niezwykłej i niezaprzeczanej.

Szczegóły biograficzne, dotyczące Rachmaninowa, i pobieżną charakterystykę pomieściliśmy w sezonie bieżącym z powodu jego występów wirtuozowskich.

Dziś podkreślamy talent Rachmaninowa, jako jednego z najpierwszych kompozytorów rosyjskich doby współczesnej.

Przy tej sposobności polecamy muzycznym czytelnikom „Świata” jego cudne pieśni i rozgłośnie preludium *cis-moll*.

Warszawa poznała nową operetkę „Królową miliardów”, której autorem

jest Leon Fall, rodem ze Lwowa, lecz zarazem—dziecko kultury wiedeńskiej. „Królowa miliardów” cieszy się od pół roku niezwykle powodzeniem w stolicy naddunajskiej. Główna wartość tej operetki zawarta w muzyczne wytwornej, pomysłowej i subtelnie instrumentowanej. Akcja snuje się na tle stosunków amerykańskich.

Niejedna melodia zaczerpnięta jest z motywów lokalnych Nowego-Swiata.

Bemol.

Karolina Stubenrauch.

Młoda skrzypaczka, która pisała się w sali Filharmonii na raucie 25 b. m. urządzonym przez Koło wpisów na korzyść młodzieży szkolnej. Żywy temperament i wyrobienie techniczne zyskały wdzięcznej skrzypaczce o klasie publiczności. (Koncert Winiawskiego, gawot Bacha, menuet Mozarta i czardasz Hubaya).



Karolina Stubenrauch.

Na paryskim bruku.

Sprawa bankiera paryskiego, Rochette'a, którego przed kilku dniami aresztowano i osadzono w więzieniu pod zarzutem olbrzymiego oszustwa, już dziś, pomimo że śledztwo dopiero rozpoczęło, zarysowuje się bardzo ciekawie, a raczej może nie tyle sama sprawa, co postać głównego jej bohatera.

Rochette stał na czele szeregu przedsiębiorstw finansowo—przemysłowych, z których najpoważniejszym był bank francusko-hiszpański. Po za głównymi biurami w Paryżu posiadał pięćdziesiąt dwie filie, rozrzucone po całej Francji. Był więc finansistą na wielką skalę. I odpowiednio zbankrutował. Passywa wynoszą 200 milionów franków.

Wszystko to — pieniądze uboższych klas ludności. Francuzi są, jak wiadomo, najoszczędniejszym narodem na świecie, łatwo więc sobie wyobrazić, jakiej burzy narobiła wiadomość o bankructwie.

Ale pomimo upadku, więzienia, prawdopodobnej hańby, Rochette przyjać nie stracił. Wbrew pozorom i faktom, które każą w nim widzieć zwykłego oszusta, przyjaciele ci uważają go za ofiarę intryg. Na zebraniu akcjonariuszów „Banku francusko-hiszpańskiego” w Paryżu uchwalono protest przeciwko aresztowaniu bankiera. Dyrektorzy filij prowincjonalnych odwiedzili go w celi więziennej z kwiatami. Akcje przedsiębiorstw, których wartość nazajutrz po krachu spadła do zera, znów zaczynają podnosić się w cenie. Zważywszy, czem dla przeciętnego „burżuazji” francuskiego jest strata oszczędności, należy podziwiać urok sugestyjny Rochette'a, urok, który opiera się faktom.

Czem-że to wytłomaczyć?

Wszyscy, zarówno ci, którzy potępiają, jak i ci, którzy bronią Rochette'a, bez zastrzeżeń zgadzają się na jedno: że jest on typem „amerykańskim”. Karyerę rozpoczy-

nał, jako chłopiec do posług w hotelu na prowincji, później przeniósł się do Paryża i był kelnerem w znanej kawiarni „de deux Magots”, ale ciągnęło go do „robienia pieniędzy”, jak dawniej ciągnęło ludzi do żołnierki, jak teraz czasem jeszcze—do sztuki,—i skorzystawszy z pierwszego uśmiechu fortuny—bo ten musi być wszędzie,—z niewielkiego spadku,—rozpoczął operacje finansowe. Nie wiodło mu się, bankrutował, ale wytrwałości nie tracił. Aż wypłynął. Ponownego jego upadku nie spowodowała bynajmniej rozrzutność. Pomimo olbrzymiego majątku, jakiego się dorobił, żył bardzo oszczędnie. Dzień w dzień pracował do drugiej w nocy. Słowem t. zw. „uciechy doczesne” nie nęciły go bynajmniej: —nęciło go robienie pieniędzy—dla robienia pieniędzy, tak jak się pisze poemat dla napisania poematu.

To jest amerykańizm. Dawnym ideałem ludzkim przeciwstawia nowy: człowieka, który żyje po to, aby zebrać jaknajwięcej. A ponieważ stara Europa amerykanizuje się coraz szybciej, więc Rochette, uosobienie nowego ideału, musi mieć entuzjastów. Zwłaszcza że przyłącza się do tego dawny nałóg: potrzeba uwielbienia. Nie można wielbić wódzów, bo wojny stracił już swój romantyczny charakter, same służą zresztą do robienia pieniędzy, więc lepiej ulokować serca bezpośrednio w ogniotrwałej kasie bankiera. I bankierzy zaczynają wyrastać na bohaterów i nauczycieli tłumy. Skutkiem tego zmienił się też ich stosunek do mas: dawniej mieli klientelę, dziś mają gwardyę.

A gwardya nie opuszcza w nieszczęściu, bo wierzy, że chwilowo puste kasy są tylko manewrem strategicznym, a przyszłość to — dywidenda. I dlatego bankier Rochette ma przyjaciół, którzy mu do smutnej celi więziennej przysyłają codziennie świeże kwiaty.

Wł. Prz.

Paryż.

Z prasy warszawskiej.

Po raz to pierwszy — zdaje się—zdarza się u nas, że kapłan staje na czele wydawnictwa polityczno-społecznego, zupełnie świeckiego.

Oto w tych dniach ks. kanonik Hipol. Skimborowicz, b. redaktor „Kroniki Rodzinnej”, nabył na własność i nadal pod osobistym kierunkiem prowadzić zamierza popularny dziennik warszawski, „Dziennik Powszeczny”. „Dziennik” będzie nadal rozwijać się, jako



pismo informacyjne, bezpartyjne, niezależne, polityczno-społeczne i literackie, o tle wybitnie polskim i wyraźnie katolickim.

Z kroniki żałobnej.

Ś. p. Aniela Tripplinówna.

Ś. p. Aniela Tripplinówna była jedną z najstarszych przedstawicielek piśmiennictwa naszego, jedną z najstarszych wyrazicielek „kobiecego”, choć nieco w odmiennym guście i stylu, niż dzisiejsza zabiegliwa działalność kobieca.

Urodziła się w Warszawie w 1842 r., była córką ś. p. Ludwika Tripplina, nauczyciela szkół, redaktora „Korespondenta” ówczesnego i autora kilku prac historycznych, i małżonki jego, Cezary z Kondrackich. Otrzymałszy staranne wykształcenie domowe, dużo podróżując, obdarzona wyobraźnią żywą i ruchliwą, poczęła utrzymywać w pismach



Ś. p. Aniela Tripplinówna.

swe liczne wrażenia, celując barwnością i żywością stylu. W r. 1884 wydała swą pierwszą powieść p. tyt. „Syn księżniczki”, która cieszyła się pewnym rozgłosem. Dalszemi płodami jej pracy twórczej była powieść „Galantuo- mo” i dłuższa nowela p. t. „Szaleniec”, wydana w Krakowie w r. 1889. Ś. p. Tripplinówna była też autorką dwóch komedii: „Telegraf” i „Hrabia rejent”, granych na scenie teatru Rozmaitości. W tej ostatniej odtworzyć miała rysy znanej w świecie towarzyskim postaci reagenta Kretkowskiego. Oprócz tych prac większych, drukowała cały szereg wrażeń z podróży, artykułów w różnych sprawach społecznych i estetycznych, tudzież wiele przekładów, głównie powieści. W latach 1883—1884 w Wenecji była w bliższych stosunkach ze ś. p. Marią Raczyńską, córką Zygmunta, gdzie żyły obie w ekscen- trycznym odosobnieniu, „czyniąc dzień z nocy, a z nocy dzień”. Po śmierci ś. p. Raczyńskiej przyjechała do Warszawy i ogłosiła jej listy i pamiętniki w wychodzącym podówczas pierwszym programem piśmie kobiecym p. t. „Świt”, którego redakcję dzierżyła Maria Konopnicka. Pisywała też w „Echu” za czasów redakcji Sarneckiego. Ś. p. Tripplinówna była indywidualnością kobiecą ciekawą. Daleka od feministycznych zapędów, była bądź co bądź pionierką rozszerzenia duchowego zakresu kobiety i twórczych jej zasobów. Z głową, wiecznie płonąca, zawsze pełną pomysłów, natura nie- spokojna, nerwowa, trawiła się, by tak rzec, w niepokoju nerwowym, zanie- chawszy na długo przed śmiercią swej niwy pisarskiej. Zmarła też, prawie

zapomniana przez dzisiejsze ruchliwe i zmienne pokolenie, dziwiąc się jemu zapewne. Niechże choć na chwilę jedną ze śmiercią swą wtórą odżyje w pamięci rwącego w dal niewiadomą i nieogłądającego się na *wczoraj* spo- łeczeństwa polskiego...

Ś. p. Henryk Sadowski.

Zszedł znowu z pola, z cichej, często niewdzięcznej niwy dziennikar- stwa polskiego, jeden z jego długo- letnich skromnych a pracowitych ora- czów, ś. p. Henryk Sadowski.



Ś. p. Henryk Sadowski.

Pisma codzienne, z „Kuryerem Warszawskim” na czele, który w zmar- łym stracił jednego z najstarszych swych współpracowników, podały bio- graficzne dane, dotyczące jego działal- ności, jako człowieka pióra. W wspo- mnieniu po zmarłym odzwierciedlono to, co było jego środkiem do życia, nie doceniono tego, nad czym spędzał dłu- gie godziny nie dla zysków, nie dla chwały, lecz dla rzadko spotykanego dziś w młodszym pokoleniu zamiłowania do obranego przedmiotu.

Tym celem, tą chlubą żywota ś. p. Sadowskiego było zwracanie oczu do przeszłości; był dzieckiem Warszawy, ale był również jej znawcą, jej niepośledniej miary historykiem; był dobrym oby- watelem swego kraju, ale jednocześnie czcicielem jego pamiętek z zamierzchłej doby. Rzadko kto tak, jak ś. p. Hen- ryk Sadowski, znał historyczną Warsza- wę, a wraz z jej historią to wszystko, co z dziedziną wiedzy w tym kierunku nierozłącznie się wiąże.

Ś. p. Henryk Sadowski był zami- łowanym heraldykiem, numizmatykiem, znawcą starożytności polskich.

Jego chlubą, jego zasługą przed historią i literaturą polską jest dzieło „Ordery i oznaki zaszczytne w Polsce”, któremu szereg lat zmudnej pracy poświęcił.

Czytelnicy „Świata” spotykali się niejednokrotnie z jego nazwiskiem.

Pozostawia po sobie w gronie przyjaciół pamięć dobrego kolegi, na kartach historyków naszej przeszłości— miano nieustrudzonego pracownika, a w dziejach dziennikarstwa warszaw- skiego pozostaje sympatyczną o praw- ym charakterze postacią.

I dlatego to niezdawkowem będzie na kamieniu grobowym ostatnie kole- żeńskie pożegnanie:

„Cześć jego pamięci”. K. P.

Ś. p. dr. Stanisław Kępiński.

Tragiczną śmiercią, spowodowaną roz- strojem nerwowym, zmarł w Zakopanem jeden z nielicznych naszych uczonych-ma- tematyków, profesor politechniki lwowskiej dr. Stanisław Kępiński. Zmarł w kwiecie- wieku, przekroczywszy zaledwie czterdzie- sty rok życia, w pełni naukowej i wych- owawczej działalności. Krakowianin, w ro- dzinnem mieście kształcił się i tu, poświę- ciwszy się nauce, osiągnął profesurę nad- zwyczajną matematyki w uniwersytecie Ja- giellońskim. W r. 1899, powołany do Lwo- wa, objął ważny posterunek: katedrę w po- litechnice. Głęboko i poważnie pojmował zmarły obowiązki swe, jako uczonego i profesora. „Treść tych poglądów—pisze w serdecznym wspomnieniu prof. Rudzki— można wyrazić krótko: nie rozpraszać się na różnych polach, lecz wszystkie siły skupić w nau- kowej i zawo- dowej pracy, nie zadawalniać się świadomością, że o tym lub owym przedmie- cie nikt dotąd w Polsce nie pi- sał, lecz mierzyć wartość swych prac ogólnu-eu- ropejską miarą, uczniom dawać wiedzę grunto- wną i żądać od nich rzetelnej pracy”. Wszcu- plejszem kole- zny i ceniony był ś. p. Kępiński ze swego delikatnego, szczerego humoru, z otwartości i dobroci. Zaił też prawdziwy obudził ten przedwczes- ny, a zarazem tak wstrząsający zgon mło- dego i świetnego nadzieje rokującego profe- sora.



Ś. p. dr. Stan. Kępiński.



Sanatorium w Purkersdorfie pod Wiedniem.

O dwadzieścia minut od dworca Za- chodniego w Wiedniu położony zakład leczniczy, należy do najlepiej urządzonych, a zarazem najskuteczniejszych dla chorych, potrzebujących kąpiei żelazistych. Zimne źródło, zwane „Źródłem Laury”, posiada, pomiędzy wielu cennymi składnikami, dwa razy tyle tlenku żelaza, co „Źródło Fran- ciszka” we Francensbadzie. Oprócz te- go Sanatorium posiada urządzenia hydro- terapeutyczne, kąpiele mineralne, kwa- sowe, iglaste, jodowe, elektryczne i t. d. Pacjenci, poza opieką lekarską i starannym pielęgnowaniem domowem, używać mogą przytem w całej pełni pięk- ności przyrody w uroczej okolicy, a za- razem korzystać z olbrzymiego, posiadają- cego około 100 tysięcy metrów kwadrato- wych parku, obfitującego w urządzenia różnorodnych rozrywek i gier towarzy- skich. Ordynującym lekarzem jest d-r. Lu- dwik Stein.

Odpowiedzi od redakcji.

P. Karolowi Dulareskiemu. Kostrzewskiego dajemy od czasu do czasu. Tetmajer powrócił obecnie z Nizy do Krakowa.

Pielgrzymowi. Muszka — za blaha: nie będzie drukowana w Świecie.

P. K. K. Adres Wiktora Gomulickiego: Warszawa, Mariensztadt, 3.

P. K. S. Nadesłane wiersze nie będą drukowane: są bardzo słabe. Zniszczyliśmy.



P. K. D. Wiersz jest oryginalny, dla niedostatecznie jednak wykwintnej formy nie będzie drukowany w Świecie.

Czytelniczce „Świata”. Adres p. Leopolda Staffa jest następujący: Galicya, p. Zakopane w Poroninie.

Sylian. Słabe. Nie wydrukujemy.

Pracownia chemiczno-bakteryologiczna mag. **R. Życkiego**

Chmielna 17 WYROBY: Kefir, mleko bulgarskie, mleko dla niemowląt
tel. 30-68

FABRYKA **„W. ROMANOWSKI”** Właściciel K. Starzyński
POWOZÓW

Królewska № 23.

przyjmuje obstalunki, jak również poleca znane ze swej dobroci ekipaże.

CZ. NOREK w Warszawie, Nowy Świat 34

Z dniem 1 kwietnia otwartym będzie Magazyn Bielizny i Konfekcji Męskiej.

KUPNO MASŁA
SKŁAD MASZYN

Warsz. Ziemiańskie Tow. Mleczarskie

Warszawa, Aleja Jerozolimska 23.

Warunki kupna i katalogi na żądanie bezpłatnie.

GABINETY DENTYSTYCZNE i LECZNICA Marszałkowska 153 róg Królewskiej

Lekarza Dentysty **STEFANA ŻYCKOWSKIEGO i W. WIKTORA**

Leczenie, plombowanie i zęby sztuczne wszystkich systemów. telefon 62 12.

Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele**
Browaru

1041 poleca **PIWO PILZEŃSKIE**



Najlepsza Kawa
Skoncentrowana

EXTRAIT
DE MOCCA

Eug. Widigier i S^{ka}

Warszawa
Jerozolimska 25 tel. 35-33.

MAGAZYN MOD

M^{lle} ANTOINETTE
ulica Szpitalna № 1.

Poleca na nadchodzący sezon lemi wielki wybór bardzo gustownych, najmodniejszych kapeluszy, po cenach nader przystępnych.

Parfumerie „Moderne” Paris
Perfумы, Wody kwiatowe, mydła

SKŁAD APTECZNY

A. Bukowieckiego
Marszałkowska 120.

Poleca masę „Salon” cieszącą do podług i posadzek „Salon” się wielkiem uznaniem, daje polską piękny, trwały, bez męczącego tarcia szczotkami. „Argentol” wytarte platery oraz srebrzy wyroby z innych metalów. Cena 40 k. Pasta do obuwia w trzech kolorach. Dobra. Tania. Wyrób „Egal” miejscowy. Cena 15 kop.

„Perfumy” GENTIL - BOCCA, SWEET-PEA, oraz wiele innych zapachów. Wyrób angielski Lut kop. 50. Skład zaopatrzony we wszelkie materiały apteczne, fotograficzne, wody mineralne, oraz wielki wybór wód kolońskich i kwiatowych, mydeł, gąbek, pudrów, kosmetyków i t. p.

EL-MILPOP SŁYNĄCA D POLICA **ZEGARY ZEGARKI**

KOMPOTY,
CUKRY DESSERTOWE,
MARMELADY,
OWOCY CUKRZONE,
ABRYKOSOW MOSKWA

SKŁAD INSTRUMENTÓW MUZYCZNYCH
GRAMOFONÓW I PŁYT



E. Feigenbaum,

Warszawa, Marszałkowska 141.
Telefon Nr. 83.95.

Największy wybór. Najtańsze źródło.

Bracia ZANDER

FABRYKA i MAGAZYN
bielizny damskiej i męskiej
Marszałkowska 88 filja Nowy Świat 43. Tel. 46 97.
Ceny niskie. Ceny stałe.

Pijcie piwo „Waldszleschen”

Żądać wszędzie

Dom Informacyjny

(zatwierdzony przez rząd z kaucją rb. 25,000)

J. RZĘDOWSKI, Zie na 46 Tel. 32 26.
1) Informacje o zdolności kredytowej firm krajowych i zagranicznych.
2) Informacje o źródłach zakupu i zbytu. Dane statystyczne.



BROWAR POLSKI
St. NOWACZYŃSKIEGO
Grochów, pod Warszawą. Tel. 878.



filia: Marszałkowska 100. Tel. 11-00.

Alfons MANN

Tomackie № 5, Warszawa.
Narzędzia chirurgiczne lekarskie i weterynaryjne. Bandaże rapturkowe i Pasy. Poniższy elastyce. Wyroby stalowe ostre w wyborowych gatunkach.

LECZNICA DLA DZIECI
d-ra Juliana Gawrońskiego

Plac 6-go Aleksandra Nr. 18 róg Brackiej. tel. 40.33
Przyjęcia od 9 do 11-ej. Porada 50 k.

„VERSAL”

Pokoje umeblowane Marszałkowska 108, róg Chmielnej poleca WW. PP. przyjeźdnym pokoje na doby i miesięcznie. Wzorowa czystość i porządek, elegancja, ceny bardzo przystępne. Kuchnia, wanna. Telefon 109-70. 1939 Z uszanowaniem Zarząd.

Zakład Przewozowy

„SYRENA”
Krak. Przedm. 38

J. SKWIERCZYŃSKI.

Pierwszorządny magazyn krawiecki
Erywańska 9. WARSZAWA. Tel. № 19-80

Restauracja Grand Hotelu
Chmielna 5. F. Reich.

Codziennie koncert orkiestry krakowskiej. Obiady 50 k. Kolacje 60 k. Gabinety z komfortem urządzone z wejściami oddzielnymi. Ceny na sali i w gabinetach jednakowe. Kuchnia wyśmienita. Piwo zagraniczne i Strye kie z beczki. 1893

K. MACHLEJD

POLECA PIWO

Łagrowe, Leżak, Pilzeńskie, Kulmbachskie i Monachijskie.

Świeże tytoń

SKŁAD WYROBÓW TABACZNYCH

B. O. Kamiński

Nowy Świat 55. Tel. 53-90.

Świeże tytoń

MAGAZYN MEBLI

J. SZYNKOWSKI, R. WSZETECZKA i S-ka
Mazowiecka 8. Telefonu 59-91.

Zakłady własne stolarskie, rzeźbiarskie i tapicerskie. Chłodna 14. Telefonu 18-70.

Wydawcy: Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

Redaktor: Stefan Krzywoszewski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniowski, Kraków, ulica Zybkiewicza № 1.

DODATEK ILUSTROWANY.

Fabryka W. Bieńkowski i S-wie.

W cichym zakątku dzielnicy „nowomiejskiej“, dziś pomimo swojego przymiotnika jednej z najstarszych w Warszawie, pomiędzy klasztorem Sakramentek a starożytną świątynią Panny Maryi znajduje się ulica Piesza.

Nazwa ulicy tej mało komu u nas jest znana pomimo tego, że jedyna posesya, do tej ulicy należąca a stanowiąca fabrykę wyrobów stalowych „W. Bieńkowski i S-wie“, posiada rozgłos powszechny.

Ta Piesza ulica to niewielki impas, idący od Nowego Miasta, a kończący się bramą żelazną, po za którą widać okazały fronton barokowy, powiadający przechodniowi o dawnych czasach.

Niegdyś był to klasztor braci Be-nonów.

W epoce prześladowań religijnych, ojców i braciżków (którzy byli po większej części katolickimi Niemcami) wygnano, a ich posesję sprzedano na licytacyi. Założono w niej fabrykę wyrobów stalowych — w roku 1825.

Śród fabryk naszych jest to więc zasłużona pionierka przemysłu polskiego i należy się jej szacunek i względy, iż jedna z najpierwszych krzewień poczęła w kraju naszym umiejętność zawodowej pracy, na szerszą zakrojonej skalę.

Od pół wieku prawie, żeby być ścisłym, powiedzmy: lat czterdzieści pięć, zakłady te stanowią własność pp. Bieńkowskich, dawniej ojca, Wojciecha, który je prowadził przez lat trzydzieści, obecnie od lat piętnastu już — syna jego, p. Aleksandra, umiejętnego utrzymać odziedziczoną fabrykę ponad poziomem istotnej z nią konkurencyi.

Ś. p. Wojciech Bieńkowski był jednym z najpoważniejszych przemysłowców polskich w kraju. Podczas wystawy paryskiej w roku 1889 jedyny z Polaków zasiadł w wystawowym jury. Posiadał rozetkę legii honorowej francuskiej, dla cudzoziemców tak bardzo trudno dostępnej.

P. Aleksander przygotowywał się w swoim zawodzie energicznie i umiejętnie; poznawał go do gruntu, bo od stanowiska prostego robotnika, kształcił się w pierwszorzędnym zakładach w Sheffield, słynnych ze stalowych wyrobów w całym świecie.

— Nóż angielski!

Wszyscy wiedzą, iż to jest ideał noża.

A jednak tym ideałem stał się on dzięki pracy i umiejętności angielskich zawodowców, — materiał pierwszy bowiem tych wyrobów: stal nie jest wcale w Anglii pierwszorzędnej wartości produktem.

Najlepszą stal na świecie ma Szwecya, i angielskie nożownictwo jej wła-

śnie używa do swoich wysokich wyrobów.

To jednakże pozwala na konkurencyę.

Mieć stal szwedzką i umiejętność angielską — konkurencyja staje się możliwą.

P. Aleksander Bieńkow-

ski to właśnie urzęczy-

wistnił. Sprowadza on

stal wyłącznie szwe-

dzką do swoich

wyrobów, w fa-

bryce swej za-

prowadził an-

gielskie sposo-

by produkcji

i hartowania, te

ostatnie ule-

pszył najnow-

szemi wynalaz-

kami, jakich na

tem polu doko-

nano w ostatnich

czasach w Amery-

ce, a jeszcze dodaw-

szy do tego rezulta-

ty własnej długoletniej

praktyki — osiągnął dosko-

nałość ostrych narzędzi swej

produkcji, która nie jest

prześcigniętą przez żadną konkurencyę,

nawet zagraniczną.

Popisową sztuką, jakiej dokonano

w tej fabryce, jest nóż olbrzymi, wy-

stawiony w oknie sklepu firmy, przy

ulicy Senatorskiej № 6, który waży

czterdzieści funtów.

Ten nóż, pomimo kolosalnych roz-

miarów swoich, jest najzupełniej nor-

malnym i prawdziwym nożem, odpowiednio zahartowanym.

— Jakiś olbrzym mógłby sobie nim chleb krajać — mówił mi p. Bieńkowski.

Otóż jest to największy nóż na świecie.

Słynna firma Henckels'a w Solingen zdolna była wykonać nóż ogromny,

jednakowoż prawie łockia

mniejszy, aniżeli kolosalny

nóż Bieńkowskiego.

Nie dziw, że tak

umiejętna praca na-

grodzoną została

trzynastoma me-

dalami i dyploma-

mami; że stoi

na czele całej

tej gałęzi pro-

dukcji, jako je-

dyna w kraju

parowa fabry-

ka stalowych

wyrobów; że p.

Aleksandra Bień-

kowskiego powo-

lano na starszego

zgrupowania cechu

i że wreszcie produk-

cya tej fabryki jest ogro-

mną, a eksport do Rosyi

bardzo poważny.

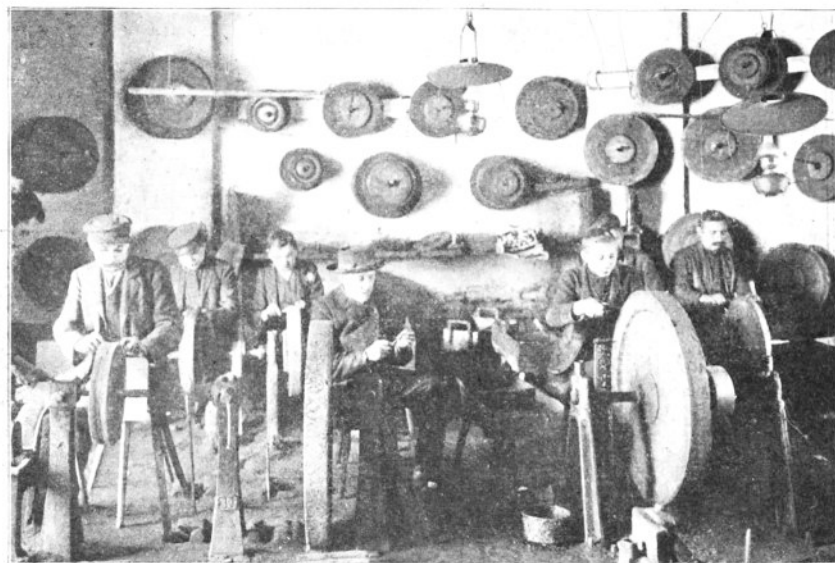
Szeroka publiczność zna dobrze noże i widelce fabryki W. Bieńkowski i S-ka.

Zauważmy tu, iż nawet ona nie zna ich tyle, ile właściwie one na to zasługują, fabryka bowiem dostarcza ostrzów swych do największych zakładów wyrobów platerowanych, gdzie noszą firmę tych właśnie zakładów.

Bądźcie jednak pewni, czytelnicy,



Wielki młot powietrzny.



Szlifiernia.

Fabryka W. Bieńkowski i S-wie.



Wnętrze sklepu przy ulicy Senatorskiej.

że gdy zdarzy się wam posiąść dobry nóż platerowany, pochodzi on od Bieńkowskiego.

Oprócz noży i wideł zwykłych fabryka W. Bieńkowski i S-wie wyrabia mnóstwo gatunków ostrych narzędzi, przeznaczonych do użytku kuchennego. Naliczyłem do trzydziestu rozmaitych narzędzi, bez których dobra kuchnia dziś się obejść nie może, zwłaszcza nieco większa, a które nie tylko ułatwiają znakiem pośpiechu i dokładność roboty, lecz wpływają niezawodnie i na gastronomiczną stronę potraw. Jeżeli bowiem kuchnia się ciągle doskonali, to i dla tego, iż coraz więcej czynności wykonuje się w specjalny sposób specjalnymi narzędziami.

A osobno wspomnieć należy wyroby, służące do użytku domowego.

Ta kategoria jeszcze jest liczniejsza od tamtej. Wspomnę tu z licznych narzędzi praktyczne wielce noże i widełce do rozdzierania pieczonego z kłapkami, zabezpieczającymi od skażenia; albo różne noże podróżne i myśliwskie, ze sztucznymi zamkami.

Ogrodnicze i agronomiczne przyrządy fabryki W. Bieńkowski i S-wie stoją również na wyżynie użyteczności. Nawet maszyny rolnicze, których w kraju nie umiemy wyrabiać, zaopatrują się w noże i ostre przyrządy w fabryce Bieńkowskiej.

— Robimy rocznie *sto tysięcy* kos dla sieczkarzy — objaśniono mnie w fabryce.

Towarzystwa i syndykaty rolnicze oceniły należycie te produkty i niemi się posługują.

Szczegół interesujący:

Niedawno zwiędali fabrykę przy ulicy Pieszej specjaliści niemieccy. Zastanowił ich sposób miejscowy tak sztucznego hartowania nożyków do żniwiarów, że tylko ostry brzeg sam jest zahartowany, podczas gdy środkowa

część pozostaje miękką i nie nabiera wcale kruchości.

— U nas nie umieją tak umiejetnie hartować — przyznali p. Bieńkowskiemu.

Inne działy fabrykacji—to przyrządy weterynaryjno-gospodarskie, wyroby stalowe dla cukrowni, papierni, ostre narzędzia dla fabryk i rzemiosł.

Sama fabrykacja tych wszystkich przedmiotów wymaga siedemdziesiąt maszyn pomocniczych. Otóż, co tylko w tych maszynach służy do krajania, fabryka sobie wyrabia sama.

A wśród tych maszyn pomocniczych pokazywano mi nóż do krajania stali, godny najwyższego zawodowego podziwu: kraje on niby papier stalową blachę, mającą ćwierć cala grubości.

Gdyby p. Bieńkowskiemu szło o jakąś efektowną reklamę, powinien by publicznie demonstrować ten wykonany przez siebie nóż, którego siła krajacza zaledwie jest do uwierzenia.

A warto by przy tem idemonstrować młot, do kucia stali służący...

Ma on 500 funtów, a tak jest urządzony, iż jedną ręką łatwo może go robotnik unosić w górę.

Jak się fabryka W. Bieńkowski i S-wie rozwinęła, dać o tem mogą wyobrażenie pewne liczby, dotyczące jednego z oddziałów, i to oddziału mniej ważnego, niejako dodatkowego, mianowicie—reperacyjnego.

Otóż do tego oddziału przybywa rocznie do ostrzenia:

Nożyczek sztuk około . .	56.000
Brzytw „ „ „ „ „ „	20.000

Liczby te są niezawodnie imponujące.

Dodamy do nich jeszcze jedną, której znaczenie technicy sami oceniają: że samych kół kamiennych, piaskowych, na których odbywa się szlifowanie ostrzy, fabryka zużywa dwieście rocznie.

Firma posiada w Warszawie cztery własne, pięknie urządzone sklepy, z tych sklep główny, mieszczący się na ulicy *Senatorskiej* № 6, (gdzie właśnie wystawiony jest ów nóż olbrzymi), urządzony według ostatnich zagranicznych wzorów, posiada szczególnie godny uwagi, *największą jednolitą szybę wystawową* w całej Warszawie.

Inne sklepy mieszczą się przy ulicy *Marszałkowskiej* № 129, na *Nowym Świecie* № 32, który to sklep od *Lipca* przeniesiony będzie na tę ulicę pod № 33, i przy ulicy *Elektoralnej* № 31.

Antony.



Sklep przy ulicy Senatorskiej.

Pierwszy zjazd delegatów Towarzystwa „Przyszłość”.



W ubiegłym tygodniu odbył się w Warszawie I-szy zjazd delegatów z całego Królestwa Tow. abstynenckiego „Przyszłość”. Przybyli przedstawiciele z Łodzi, Radomia, Lublina, Łomży, Mińska Mazowieckiego i miejscowi. Z różnych przyczyn nie przybyli delegaci z Siedlec, Piotrkowa, Żyrardowa, Młodej i Słupcy, gdzie również istnieją oddziały Tow. i rozwijają się pomysły. Obrady zajął prezes zarządu głównego, dr. Augustyn Wróblewski, poczem na przewodniczącą zaproszono p. Zofię Nowacką z Łomży. Jako asesory zasiadli: St. Wrzesiński z Łodzi i Maryan Piotrkowski z Radomia, a sekretarzowali: Wiktor Karliński z Warszawy i Leonard d'Auguste z Mińska Maz. Na porządku dziennym zjazdu były sprawozdania z działalności zarządu głównego oraz oddziałów, sprawozdania kasowe i t. p. Wreszcie dokonano wyborów uzupełniających do zarządu i 3-ch członków komisji rewizyjnej. Większością głosów do zarządu weszli p. p. Zofia Nowacka, Wojciech Szukiewicz, S. Skalski, J. Rys, dr. Augustyn Wróblewski, Wiktor Karliński, L. Kozłowski, H. Rykowska, W. Cwierdzińska i G. Baumfeld; do komisji rewizyjnej zaś: p. p. Maryański, d'Auguste i Szindler.

NEKROLOGIA.

Ś. p. Jan Francuzowicz.

Po ukończeniu wydziału prawnego w Uniwersytecie Warszawskim pracował przez dłuższy czas w szeregach adwokatury kowieńskiej, a następnie osiadł na roli. Zamierzany zbieracz monet polskich — gromadził po za tem w swej księżnicy wszystkie druki, sztychy, materiały, odnoszące się do twórczości Mickiewicza. Zebrana jego długoletnim trudem kosztem „Mickiewicziana” przedstawia wartość pierwszorzędną.



Ś. p. Adam Dziewulski.



Długoletni urzędnik kolei Warsz.-Wiedeńskiej i zawiadowca stacyi Granicy zmarł 16 marca, przeżywszy lat 67.

Ś. p. Stanisław Ostrowski.

Ziemianin, publicysta, naczelnik wydziału taryfowego dr. żel. Warsz.-Wied., b. wychowaniec Szkoły Głównej, którą ukończył ze stopniem magistra prawa i administracji, cieszył się wskutek prawości i wielkiej szlachetności serca, tudzież światłego umysłu, powszechną sympatją i szacunkiem. Zmarł, przeżywszy 62 lata.



Ś. p. Stanisław Sienkiewicz.

B. artysta opery warszawskiej, który piękne przed laty rokował nadzieje, zmarł, nie żyściwszy ich w pełni. Urodzony we Lwowie, ukończył tam gimnazjum i uczęszczał na Uniwersytet, gdzie zwrócił na siebie uwagę niezwykle pięknym głosem tenorowym, jako członek stow. śpiew. „Echo”. Wystąpił po raz pierwszy w *Żydówce*, w *Stanisławowie*. W operze warszawskiej zbierał oklaski w *Gopłanie* (*Grabiec*), w *Hal-*



ce (*Jontek*), w *Strasnym dworze*, *Hrabinie* i wielu innych. Choroba i warunki materialne podkopały zdrowie i talent artysty. Wywiązała się niszcząca gruźlica, która przerwała pasmo młodego, gdyż załedwie czterdziestoletniego żywota. Ś. p. Stanisław Sienkiewicz słynął obok pięknego głosu z niepospolitej urody, pięknego typu męskiego, jedynącego mu powszechne uznanie. Szkoda młodego życia i świetnego głosu, przez życie i chorobę straconych!

B. p. Ludwik Friedländer.

Zmarł w Warszawie 23 marca w wieku lat 71. Był to jeden z najdawniejszych pionierów przemysłu łódzkiego wówczas jeszcze, gdy był on w związku. Kiedy przemysł ten został zachwiany, czas jakiś trwał na stanowisku; dopiero wypadki lat ostatnich skłoniły go do odstąpienia fabryki p. f. Schmidt i Fitze, wycofania się ze spraw przemysłowych i przeniesienia się do Warszawy, gdzie też dokonał znojnego a na szacunek ogólny zasługującego żywota.



„Dzwonek Częstochowski.”

Użyteczne to wydawnictwo miesięczne pod redakcją ks. Józefa Adamczyka, wychodzące w Częstochowie i przeznaczone dla najszerszych mas, od lat siedmiu sówicie i gorliwie pełniące obowiązki chrześcijańsko-narodowy, wydało świeżo piękne premium, kopię kolorową cudownego obrazu Matki Boskiej Kodeńskiej, znajdującej się obecnie w świątyni Jasno-górskiej. Piękna ta kopia wykonana została w kraju.

Treść № 14 „Świata”, 1908 roku.

Rusini. (Z 1 ilustr.) Antoni Ciołowiecki.
Rzeźby żółkiewskie. (Z 6 ilustr.) J. Łęski.
Król Andrzej. Powieść. Kaz. Tebnajer.
Malarz słońca. (Z 5 ilustr.) Quidam.
Kobiety w najnowszej literaturze niemieckiej (Z 1 ilustr.) Stawoz.
Nad morzem. Kaz. Tebnajer.
Przed i za grobem. E. Łuniński.
Ks. prof. Kazim. Jawnis. (Z 1 ilustr.) Michał Bwenszejn.
Dyalog o wolności. Tadeusz Rittner.
U Zapołskiej — na Lido. (Z 8 ilustr.) Stefania Fontana.
Tryumf kinematografu. W. Perzyński.
Notatki literackie. Józ. Janek.
Zapaśnictwo. (Z 1 ilustr.) Slav.
Rewolucja na Haiti. (Z 4 ilustr.) wck.
Prasa berlińska ma swój honor. (Z 1 il.) S. K.
Polak — kawaler legii. (Z 1 ilustr.) i.
Następstwo tronu w Holandji. (Z 1 ilustr.)
Małżeństwo ks. Abruzzów. (Z 2 ilustr.)
Towarzystwo miłośników przyrody. i.
Stowarzyszenie współdzielcze kuchni higienicznej. (Z 2 ilustr.)
Tramwaje elektr. w Warszawie. (Z 4 ilustr.)
Z teatru krakowskiego. Ch.
Z teatrów warszawskich. S. K. i J. J.
Gościnne występy w teatrze Rozmaitości. (Z 2 ilustr.)
Kobieta — policyantem.
Z muzyki. (Z 1 ilustr.) Bemol.
Charlotte Stubenrauch. (Z 1 ilustr.)
Na paryskim bruku. (Z 1 ilustr.) Wł. Prz.
Z prasy warszawskiej. (Z 1 ilustr.)
Z kroniki żałobnej. (Z 3 ilustr.) i., K. P. i C.
Sanatorium w Purkersdorfie.
Dodatek ilustrowany. (Z 4 ilustr.) Antony.
Dzwonek Częstochowski.
Nekrologia. (Z 5 ilustr.)

ODDZIELNE ILUSTRACJE.

„Zima”. Michał Wiewiórski.
Wieczór ku czci Wyspiańskiego we Lwowie.
Pierwszy zjazd delegatów Tow. „Przyszłość”.